



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Nu neru. Krzewienie się oświaty w Indiach wschodnich przez Kazimierza Kaszewskiego. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elizę Orzeszkową. — Wspomnienie młodości (Wiersz). — Pogadanki naukowe. — Korespondencja z Paryża. — O ubiorach. —

KRZEWIENIE SIĘ OŚWIATY

W INDIACH WSCHODNICH

Wyprawy anglików na ocean indyjski, ich osiedlenie się nad Indem i Gangesem, nie było bez wpływu na intelektualną kulturę świata. Collebroke dał początek usiłowaniom zmierzającym do rozjaśnienia przeszłości tego wielkiego plejmenia ludzkiego, które zaludniło część Europy. Od jego to czasów i przez jego spóldziałanie zaczęto wdzierać się w tajemnice języka sanskryckiego, przez język w tajemnice religii i filozofii Indyan starożytnych, z kolei odsłonił się świat ich literatury pięknej; i otóż Europa ze zdumieniem ujrzała przed oczyma swemi ogromy jakich niedawno ani się domyślać mogła. Wszystko to leżało uspięne w zakątach świątyń, w rękach kapłanów, jedynych stróżów arki przeszłości; — leżało zamarłe jak ta cywilizacja, której echo rozbiło się po morzach i lądach Hellady, a dziś rozbudzone, stawia najmowniejsze świadectwo ogromnej wyższości tego plejmenia aryjskiego, które samo przez się wykształciło sobie wielką religiję, wielką filozofiję i poezję, w wykształceniu tem uprzedziło wszystkie inne plemiona co pod jakimkolwiek względem odznaczyły się na polu umysłowości, gdy pewna część innych plemion w ciągu bytowania swego na ziemi pozostała aż dotąd w stanie dzikości.

Jest to i może długi czas będzie dla nas zagadką, dlaczego gałąź aryasów indyjskich, która stworzyła Wedę, Nyę, Sakuntalę i t. p., naraz zwinęła ten cudny namiot cywilizacji i oddała go częścią w inne ręce, częścią zagrzebała w ziemi. Z Indya stało się prawdopodobnie to samo co z Grecją. Wstrząśnienia polityczne z jednej strony sparaliżowały umysły, z drugiej pomieściły ludność; i, — jak umysł grecki rozplynał się po półwyspie apenińskim, po dolinie Nilu, po stepach nadytygrzańskich, tak i umysł pierwotnych Indyan w podobnyż zapewne sposób, spłoszony we własnym domu, rozbiegając się po całym świecie, przybierał nowe formy i wcielił się w społeczeństwa obce. Jak i kiedy się to odbyło, niewiadomo nam dotąd: szczupłość materiału historycznego nie dozwoliła odczytać zagadki indyjskiego sfinxa.

Indyanie dzisiejsi są mniej więcej tem względem starożytnych, czem poddani Jerzego I. względem współobywateli Peryklesa, a nawet pod wielu względami, nie licząc już stanowiska politycznego, niżej

jeszcze stoją od dzisiejszych Greków, jakkolwiek bądź połączonych z cywilizacją europejską. Jak jedni tak drudzy ulegli również wielkim odmianom pod względem ludności. Indyjanie oceanem wód i oceanem stepów oddzieleni od miejsc w których cywilizacja dzisiejsza założyła swoje kantory, przegrodzeni tą wielką przeszkodą jaką stawia religija, tyle tylko zyskują wpływu kulturowego, ile może im udzielić go zdobywca i protektor. W końcu przeszłego stulecia kiedy francuzi z anglikami ubiegać się zaczęli o panowanie nad Indem, kraj ten przedstawia się nam jak potwór barbarzyński, technacy nieludzkością i ciemnotą; dziś obyczaje łagodnieją, tworzą się instytucje postępowe, myśl się przejaśnia i oko narodu zwraca się ku tej przeszłości kraju, która była tak świetną i wielką, a o której od anglików dopiero zaczynają się dowiadywać miejscowi.

Ruch moralny i umysłowy jakiego obecnie Indye stają się widownią, znany nam jest jedynie z kilku publikacji angielskich, które jednak nader rzadko czerpią wiadomości swe z pierwszej ręki, to jest ze źródeł miejscowych, z pism wychodzących w języku indostańskim. To jednak byłoby drogą najwłaściwszą i jedyną dla dowiedzenia się prawdy a następnie i wykazania jak tam w tej odległej krainie pojęcia rozwijają się w kierunku swobodnym i oryginalnym. Ale pracy takiej któż inny podjąć się może, chyba ten kto doskonale obeznanym jest z narzędziem wiadomości, — z językiem miejscowym.

Owoż jednym z takich ludzi jest p. Garcin de Tassy professor języka indostańskiego w szkole języków wschodnich w Paryżu. Corocznie przy zagajeniu kursu w długiej a wykwintnej prelekcji oświeca on publikę o stanie społeczeństwa indyjskiego; prelekcje te zebrał w pewną całość jeden z jego słuchaczy i ztąd za pośrednictwem dziennika paryżkiego *Revue Moderne* szersza publiczność dowiedzieć się mogła ciekawych szczegółów, które prawdopodobnie i naszym czytelnikom obojętnymi nie będą.

Z osnowy dzieła to się przede wszystkim okazuje iż rząd angielski jest nadzwyczaj względny dla narodowości indyjskiej. Nie przedsiębiorąc assimilacji niepodobnej i uważając za czystą chimery zlanie się zaledwie dostrzegalnej mniejszości rządzących z ogromną większością rządzonych, anglicy przedsięwzięli protegować swobodę wyznań, rozwój narzeczy miejscowych i oświatę ludu. Nie narzucają oni nikomu ani religii własnej, ani języka, ani systemu edukacyjnego, i dopuszczają do spraw publicznych każdego krajowca, który przejawszy się formami europejskimi, nie porzucił jednak obyczajów, pojęć i tradycji krajowych. Ta szeroka tole-

raneya religijna wyrodziła między wyższymi warstwami społeczeństwa czysto indyjskiego i mahometańskiego, które dziś bardzo się już zmieszały na indyjskiej ziemi, pewien rodzaj religijnego eklektyzmu, który coraz bardziej się rozszerza i ujawnia.

Przytoczymy kilka przykładów:

Brahma-Sabha (towarzystwo boże) w skład którego wchodzi już do dwóch tysięcy rodzin w samej Kalkucie, obchodziło niedawno trzydziestą ósmą rocznicę swego istnienia. Członkowie tego towarzystwa porzucili pogaństwo i zrzucili, przynajmniej w zasadzie, jarzmo systemu rast. Jeden z obecnych przywódców tego towarzystwa, młodzieniec 29 letni, na kilku posiedzeniach odbywanych w różnych miastach, głosił wiarę w jedynego Boga i obstawał za moralnością z wiary takiej wynikającą, za taką samą moralnością jaką według słów jego, wypływa z nauki Chrystusa. Utrzymywał że wszystkie kwestje społeczne zawarte są w dogmacie jedności Boga, z której wynika jedność ludzkiej rodziny, a tem samem braterstwo wyłączające różnice kastowe, wymagające równości dla wszystkich sprawiedliwości, zabraniające małżeństw antycypowanych, utrzymania w zamknięciu kobiet, zabójstwa dzieci, i męczarni religijnych, które najopłakawszą stanowią plagę u Indyan. „Jeśli wierzę, — dodał, — w jedynego Boga, tedy powinienem bez różnicy uważać za moich braci nie tylko indusów ale również mahometan, parsów i europejczyków.“ Bóg, według niego, jest jedynym panem i stwórcą, — wszechmocnym i wszechpotężnym. Jest on niewidzialny, istnieje sam przez się i nie ma równego sobie; w nim źródło dobra i wiedzy. W tem troszkę nieokreślonym pojęciu osoby boskiej, według symbolu Bramasaby tkwi jeszcze resztką odcieniów starego panteizmu indyjskiego, ale ta próba reformy spirytualistycznej oczywiście i stanowczo odrywa się od tła bieżącego pogaństwa: to też nie bez racji jeden z miejscowych dzienników przywiązany do dawnych obrzędów, uskarża się na to że dziś już nikt nie zapala lamp z oczyszczonego masła, że posagi bogów znikły albo zeszyły do skrzyń.

Inna niemniej godna uwagi oznaka eklektyzmu, uwidoczniła się znowu w społeczeństwie mahometańskim na które w ogóle religija chrześcijańska oddziaływała nierównie mniej jak na indusów. Otóż jeden z wyznawców islamu daje równie oryginalny jak umiejętny komentarz Biblii. Po ogólnym wstępie do Starego Testamentu, w którym autor ten traktuje o podziale składających go ksiąg i zbija zarzuty przeciw autentyczności Pentateuchu, tłumaczy on jedności pierwszych rozdziałów Genezy, wiersz w wiersz. Nasamprzód idzie przekład indostański, w następnej

kolumnie tekst oryginalny hebrajskimi czcionkami a w międzyliniach każdy wyraz hebrajski ma pod sobą odpowiedni wyraz indostański; dalej następują analogiczne ustępy koranu i hadysów; w końcu dopiero idzie komentarz każdego wiersza a nawet każdego wyrażenia osnuty na eklektycznych pojęciach autora. Cóż to za praca, jakie zamiłowanie, i jak wiele autor przywiązuje wagi do celu swjej pracy. Która z takim trudem i zachodem podjął! W komentarzu swym said rozbiera i tłumaczy znaczenie wyrazów hebrajskich i ogólny sens wiersza, popierając to mnóstwem cytat. Przywodzi wulgatę, urzędowy przekład angielski i wiele innych tłumaczeń; wspomina wykłady żydowskie i chrześcijańskie, katolickie i protestanckie, następnie to co daje się wyciągnąć z Koranu, z komentarzów, z doktorów islamijskich i z opinii powszechnie przyjętych u mahometan. Zbija zarzuty racjonalistów, czyniąc im jednak ustępstwa jakich pozwala szeroka interpretacja tekstu.

Tak między innymi, w kwestji, czy potop był powszechnym czy miejscowym, autor oświadcza się za miejscowym, a to na zasadzie argumentów jakich nie powstydziliby się krytyka europejska; i w zdaniu popiera się tak dobrze pierwszym listem Ś. Piotra jako i czterema tekstami Koranu. Z tej krótkiej wzmianki widzimy że niewiele i w Europie znajdzie się dzieł podobnie mozolnej a sumiennej erudycji jak praca uczonego indyjskiego saida; — fakt ten zdaje się niepodobnym do uwierzenia dla tych co Indye znają tylko z geografii i gazet. Cóż dopiero mówić o tym postępie religijnym jakiego on jest dowodem.

Ta jednak swoboda badań nie zdołała dotąd zawęzić pewną goryczy w dysputach czy to prywatnych, czy publicznych, wśród których misjonarze chrześcijańscy i doktorowie muzułmańscy sadzą się na przekonanie o doskonałości i wyższości swych wyznań. To też władze urzędowe zmuszane były w wielu razach zabraniać podobnych dysput, pozwalając wszakże każdemu przemawiać publicznie za wyznawaną wiarą. Doktorowie przeto indusey i mahometanie mogą wygłaszać swe przekonania i odbywać propagandę zarówno jak misjonarze, z zastrzeżeniem aby nie złego nie mówili o religii obcej. Od czasu jak anglicy zafundowali Audę, muzułmanie czy to sunnici, czy szyici, głoszą słowa wiary po bazarach w Lakanau dla odparcia nauki misjonarzy, i władza bynajmniej im nie przeszkadza. „Spodziewać się należy, mówi miejscowy dziennik Awadh-Akhbar (kuryer audański) że na wzór tego co się dzieje w Lakanau i w Delhi, uczeni indusey i muzułmańscy poświęcą się po swoich miastach temu dobremu dziełu, nie używając jednak nigdy słów pogardy lub drwin przeciwko religii chrześcijańskiej.“

Głębokości wiadomości te czerpali z jakiego pisma angielskiego, możnaby posądzić je o przechwalanie się z tolerancją i taktiem cybernetycznym, choć postępowanie anglików w Indjach dziś już z prawdziwej strony dobrze jest znane i wcale nie potrzebuje prawie *pro domo sua*. Tembardziej wątpliwość co do wiarygodności usuwa się, że szczegóły te płyną z ust uczonego francuza, który jeśli nie przeczył, to tem mniej aprobować nie miałby żadnego interesu. Anglicy są dumni, pyszni ze swjej narodowości, ze swoich działań i wpływów cywilizacyjnych; ale o ile silnemi się czują, o tyle są prawdomówni i lubią jawność, wypowiadają istotę rzeczy częstokroć nawet wbrew interesowi własnemu. Oślaniają oni na przykład rząd turecki w obec dyplomacji europejskiej, i w tem mają wspólny interes z Francją; misyjom jednego i drugiego narodu doskonale są jednak znane słabe strony tego rządu, i misyie te obowiązane są oświecać zwierzchność swą o istotnym stanie rzeczy. Zdarzyło się nieraz że jakiś sekretarz francuzkiego poselstwa *con amore* wziął się do zbadania stanu rzeczy na gruncie, spisał szczegółowo fakta, wypracował świetny nad niemi komentarz, i kompletne, eleganckie studjum przedstawił Władzy wyższej. Władza odczytała go z przyjemnością, jako szacowne dzieło literatury i historii społecznej, porobiła sobie stosowne wyciągi, uwagi, — i rękopism schowała ad acta. Po co trwożyć umysły, co tam publiczności do tego, jak się wielecy lub mali wezyrowie ćwiczą w rządzeniu ludnością chrześcijańską? Tymczasem rząd angielski, który najbardziej opiekuje się całością państwa ottomańskiego z zasady, jak dostanie do rąk podobne studjum, nie waha się ani chwili głosić go publicznie, wykazywać najo-

kropniejszych nadużyć, gwałtów, bezładu i nieudolności protegowanych. Tem mniej zdaje się prasa miałaby skrupułów w krytykowaniu postępowania własnego rządu, do czego opozycya zawsze jest skora, zwłaszcza gdy chodzi o interes daleko bliższy i bezpośredniejszy.

Owoż słowa p. de Tassy są tylko potwierdzeniem tego faktu usiłowań o dobrobyt, przemysł i oświatę, jakie anglicy przedsięwzięli w Indjach, częścią przez zachętę, częścią przez tolerancję. Wprawdzie postęp religii chrześcijańskiej w Indjach nie jest bardzo raptowny, spieszniej zapewne szedłby on gdyby go popędzano środkami używanymi w szesnastym wieku przez misjonarzy hiszpańskich w Ameryce; ale też i rezultaty są inne. Chrześcijanin indyjski jest chrześcijaninem na seryo i z przekonania, prócz tego jest obywatelem kraju mającym wiekiste prawa, związanym sympatya z idea, która go uczyniła chrześcijaninem. A czem jest, raczej gdzie jest dziś indyanin amerykański ochrzczoney przez społeczeństwo Filipom hiszpańskim? Według obliczeń p. de Tassy roczniki propagandy indyjskiej katolickiej stawiają do r. 1837 cyfrę neokatolików w tym kraju na 800,000; nie jest to wiele w stosunku do ogromu całej ludności, ale i protestancka propaganda czyni nie mniejsze postępy szczególnież za staraniem biskupa anglikańskiego w Kalkucie.

Równoległe z postępowaniem moralnym idzie i postęp umysłowy, który podstawę swą ma w instrukcyi publicznej. Oświata naturalnie nie inną rozpościera się drogą jak tylko za pośrednictwem języka, język zaś o tyle tylko działać może na umysły mass o ile jest wspólną własnością całego plemienia, dla wszystkich mieszkańców dostępnym i przez wszystkich zrozumiałym. Ośóz w tem sęk. Ludność Indyi, jak to już napomknęliśmy wyżej, dziś przestała być tak ściśle jednoplemienną jak była ongi, za czasów Alexandra Wielkiego: dziś wpłynęło do niej dużo pierwiastku muzułmańskiego. Są tam więc niejako dwa plemiona: dawne aryjskie i nowe semityckie; dwa szczepy, to i dwa języki, które czas poniekąd amalgamuje ale i sam nawet ten czas jedności nie wytworzył tak prędko... Niema więc w Indjach języka stanowczego lub powszechnie przyjętego, i w tem też leży niemata trudność zaszczepienia oświaty. Język indostański jest wprawdzie językiem panującym, ale on sam składa się z dwóch narzeczy. Jedno zwie się *hindi*, i to nie dopuszcza wyrazów pochodzenia semityckiego; *hindi* jest językiem większości liczebnej osiadłej po wioskach. Drugie narzecze zwie się *urdu* i tego używają indyjscy mahometanie, resztki zdobywców osiadłych po miastach, narzecze to zaprawione jest mnóstwem wyrazów arabskich i perskich.

Stanowi to wielką przeszkodę do rozprzestrzenienia światła wśród różnych warstw społeczności indyjskiej, i Anglicy którzy nigdy nie kusili się o nadanie tam przewagi własnemu językowi, nie wiedzą któremu z miejscowych narzeczy dać pierwszeństwo ilekroć chodzi im o ukształcenie nauczycieli wschodnich mających przekazywać za pośrednictwem mojej wiadomości zachodu uczniom nawykłym do przyjmowania pojęć na sposób wschodni. Praktyczny zmysł wysokich urzędników kierujących oświatą przemawia więc za narzeczem *urdu*, które zostając przeważnie w ustach klasz miejscskich, wśród ludności więcej rozwiniętej umysłowo, ruchliwszej, więcej już nabyło środków do wyrobienia się na język narodowy i powszechny; — tego samego też zdania jest i p. Garcin de Tassy. Ale z drugiej strony, skrupuły bierze zastawie na zatracenie ten aryjski idiomat jakim mówi największa część Indjan prawdziwych, odwiecznych autochtonów, tylko że ta część najliczniejsza jest najuboższą, najbardziej zacofaną, a tem samem i narzędzie jej mowy jest nadzwyczaj grube i niewyrobione. W kwestji wychowania rząd angielski kieruje się w Indjach mniej więcej temi zasadami jako i w metropolii; to jest zostawia swobodę zupełną i nie krępującą inicjatywy indywidualnej. Są wprawdzie trzy uniwersytety urzędowe: w Kalkucie, Bombaj i Madras, gdzie wykład odbywa się w języku angielskim i system prowadzenia umiejętności jest czysto europejski. Te uniwersytety nie udzielają jeszcze stopni naukowych w zakresie nauk orientalnych chociaż kandydatom dozwolonym jest składać egzamina w języku narodowym. Ale brak ten w krótko zastąpionym będzie przez założenie wolnego uniwersytetu w Lahorze a może i drugiego w Delhi, gdzie wykład będzie zupełnie wschodni i w języku indostańskim odbywany. W tej obszerniej prowincji która ma nazwę Pendżab, liczącej 17 milionów ludności,

po wstała już z tej okazji znakomita emulacja między rajasami i znaczniejszymi krajowcami. Złożono ogromne summy, ustanowiono komitet, którego zadaniem będzie utworzyć uniwersytet w Lahorze, zreformować w duchu narodowym wykład w szkole rządowej lahorskiej, i założyć tam główne muzeum starożytności indyjskich w liczbie tych które utworzyć się mają i w kilku innych miejscowościach.

Ostatnia statystyka wykazuje w ośmiu prezydencjach okrągło 19500 szkół niższych i wyższych z 634,000 uczniami. Większa część tych szkół zostaje na koszcie rządu, ale dużo też jest prywatnych lub założonych przez misjonarzy. Co mianowicie godnem jest w tem uwagi, to szczególne krzątanie się około ukształcenia kobiet. Anglicy zaczynają w tamtej części świata od tego na czem kończy zachód; a niełatwa z tem sprawa w kraju, którego obyczaj trzyma kobiety pod zamknięciem, co uwiecznia ich lenistwo i ciemnotę. Dwie mianowicie znakomite damy angielskie: miss Carpenter i mistress Clark przedsięwzięły tę zaszczytną krucyatę, zapisując niejako na swęj chorągwie te piękne i zacie słowa poety swego narodu: „Sprawa kobiety jest sprawą mężczyzny; oni wznoszą się lub upadają razem; razem są to albo wątle stworzenia albo istoty godne swego niebiańskiego rodu: udziałem ich wolność lub niewola.“ W samą rzecz, ciemnota niewiast jest jedną z przyczyn dzisiejszej niższości mieszkańców Wschodu, względnie do Europejczyków. Miss Carpenter kładąc sobie za cel życia podniesienie niewiast indyjskiej nie tyka bynajmniej kwestyi religijnych; pragnie ona jedynie otworzyć serca na przyjęcie cywilizacji europejskiej i tym sposobem uczynić je dostępnymi naukom misjonarzy.

Usiłowania te trwają dopiero od roku 1851, a przed trzema laty było już w Pendżabie 333 szkół dziewczęcych zależnych od rządu z 6334 uczennicami. Poparcie tej pożytecznej instytucyi przez samych krajowców było tak silne i gorliwe, że sam Bombaj własnym kosztem założył 76 szkół z 4,000 uczennicami. W Bengalu edukacja kobiet jeszcze większy czyni postęp, toż samo w Barcilly. Nauczanie muzułmanek odbywa się w narzeczu *urdu*, indusek w *hindi*, ale nauczycielkami są przeważnie mężczyźni, co nie tylko na Wschodzie ale na wszystkich czterech stronach świata ma swą niebezpieczną stronę. To też dwie damy angielskie, którym Indye zawdzięczają ten dobroczynny kierunek, głównie ubiegają się o przygotowanie odpowiednich nauczycielek i już stosowne szkoły zakładają się po głównych miastach, do których uczennice wyłącznie z ludności miejscowej uczęszczają. W tym też porządku myśli przewodniczą starają się nawet o założenie w Delhi szkoły lekarskiej dla kobiet, ażeby indyjski pozamykane w swych *zenanach* mogły bez obawy przyjmować pomoc lekarską od osób tej samej płci. Jako rezultat tych zabiegów możemy przytoczyć to, że już ośm kobiet krajowego pochodzenia napisały dzieła powszechnie znane i cenione w kraju.

Oświata rozpowszechnia się także za pośrednictwem prac towarzystw naukowych, dzienników i książek. „Nauka jest bogactwem, ciemnota ubóstwem, nauka jest chwałą, ciemnota zniesławieniem: nauka wznosi, ciemnota poniża,“ — wyrzekł na uroczystym posiedzeniu nauczyciel jednego z książąt indyjskich. Maksyma ta stała się dewizą towarzystw naukowych i literackich, jakie od kilku lat mnożą się w Indjach angielskich. Jedno z nich pod nazwą Instytut Benaryjski, stał się prawdziwą akademią, z której wyłączone są kwestye polityczne i religijne. Instytut ten złożony z uczonych indyjskich i muzułmańskich, jakoteż z kilku europejczyków indofilów, dzieli się na pięć wydziałów jakimi są: 1. edukacja, 2. postęp społeczny, 3. filozofia i literatura, 4. nauki i sztuki, 5. prawoznawstwo. Uważmy że edukacja, to jest sposób prowadzenia młodzieży, stoi tu na pierwszym miejscu, gdyż akademicy benaryjscy, słusznie utrzymują że edukacja jest podstawą do podniesienia intelektualnego i moralnego ich współziomków. Pedagogika i metody nauczania stanowią też najważniejszy przedmiot namysłu Stowarzyszenia umiejętności społecznych w Bengalu. Andżuman-Islami (Towarzystwo Islamijskie) zajmuje się głównie fizyka i naukami przyrodzonymi. Towarzystwa w Aligarze i Lahorze założyły sobie przedewszystkiem rozpowszechnić między Indyanami najpożyteczniejsze wiadomości za pośrednictwem tłumaczeń najlepszych dzieł angielskich, co jest rzeczą najpotrzebniejszą, jak twierdzą światli Indyanie, dla przywiązania do nauki i rozszerzenia wiedzy w massach po nauczeniu ich czytać i pisać. W Lakanau istnieje kilka literackie zaj-

mujaące się polityką ogólną i prawodawstwem; w Meracie utworzyło się towarzystwo astronomiczne, a w Lahorze zoologiczne i etnograficzne, które to ostatnie ma na celu zgromadzenie wszelkich możliwych informacji dotyczących ludności himalajskich. Chociaż wpływu społecznego ciał naukowych nie można mierzyć ich liczebnością, ale raczej osobistym znaczeniem członków je składających, byłoby jednak ciekawą rzeczą wiedzieć dokładnie ile takich ciał powstało w ostatnim lat dziesiątku, gdyż zgromadzenia te, istniejące zazwyczaj własnymi środkami i spójnią usiłowań, świadczą zawsze o większym lub mniejszym stopniu dzielności indywidualnej inicjatywy.

Nie ubogie są też Indie w pisma peryodyczne tak polityczne jako i literackie, rozumie się, że mówimy tu o czasopiśmie wydawanych przez samych krajowców. Z temi które powstały w ostatnich dwóch latach, professor Sorbonny naliczył ich przeszło dwadzieścia, a w liczbie ich znajdują się trzy religijne wydawane przez Indyan nawróconych na religiję chrześcijańską. P. de Tassy nie wydaje o tych czasopiśmiech w ogóle nader świetnego świadectwa: prawia one częstokroć banialuki, coś naksztalt rozpraw o deszczu i pogodzie, ale miejscami znajdują się w nich i pożyteczne artykuły.

Ktokolwiek kieruje oświatą Indyi i zamierza wlać życie intelektualne w tę społeczność, dziś jeszcze bardzo ciemną, ten oczywiście zmuszony jest zwrócić uwagę na jej dwoistość pod względem etnograficznym. Dziś w Indjach ludności są rzeczywiście dwie, a mówimy tylko o massach głównych. Starzy mieszkańcy, aryasy czystej krwi, zalegli masą bezwładną, po większej części apatyczną, a choć organizm ich jako najszlachetniejszy wśród plemion ludzkich, łatwo naukę i postęp assimilować sobie może, jednak długość nieuprawy, pokryła zdolności ich śniedzią, którą pokoleniami dopiero ścierać trzeba, nim światło nauki odbije się od czystej i szklistej powierzchni umysłu. Przeciwnie muzułmańscy śmici którzy za czasów Kalifów już przycmigrowali do Indyi z pewną wyrobioną cywilizacją, panują intelektualnie, niby greki w niektórych prowincjach Turcji nad ludnością sławiańską. Protektorowie i humaniści angielscy, ażeby sobie ułatwić drogę do siwu nauki między ludnością indyjską, oczywiście, samą siłą rzeczy, oprą się na klasie już więcej do uprawy przygotowaną, i wszelkie prawdopodobieństwo jest że Indie, tam przynajmniej gdzie ludność muzułmańska jest liczniejszą, przybiorą w kulturze charakter umysłu semityckiego, przynajmniej na czas jakiś, dopóki rodzimy pierwiastek wyższością rodową nie wzniesie się nad przybylców, jeżeli wcześniej jeszcze materialnie nie zostanie tak przynięcionym że odrodzenie się dlań będzie niepodobnem. Wszak roślina szlachetniejszą jest organicznie od kamienia, a jednak kamień w pewnych okolicznościach tak ją przynięcie, że nie tylko lodyga się złamie ale i korzeń pod nim zniszczy.

Dzisiaj przynajmniej, z samych nazw produkcji umysłowych Indyi, przez p. de Tassy przytaczanych, widać że cały prawie ruch intelektualny jest w rękę muzułmańskiem. Towarzystwo, instytut czy, dzienniki wreszcie jakie przytoczył, wszystkie niemal mają tytuły narzeza *urdu*, więc przeważnie muzułmańskiego, choć ono nie jest językiem ani arabskim, ani perskim. W takim stanie kultury jak indyjska, która dopiero rwie się do życia, przyspieszenie wzrostu zależy bardzo wiele od tłumaczeń z języków narodowości ukształconych. To też te tłumaczenia idą wciąż, ale i w tem mahometanie są najczynniejsi, bo i z angielskiego (rzeczy pozytywne) i z wschodnich języków (poetya) tłumaczą na *urdu*. Jest jednak ciężkość i do wydobywania z pyłu zapomnienia dzieł złożonych w dawnym sanskrycie, którym mówili praojcowie dzisiejszych prawowitych Indyan. Mają się przedstawiać dramata wyjęte ze starych poematów, jeden nawet p. t. *Radość Sity*, grany już był z powodzeniem w Benares roku zeszłego w obec licznego zebrania, w którym wyższe nawet społeczeństwo angielskie udział przyjmowało, ale w jakim języku odbyło się to przedstawienie nie dowiadujemy się z rozprawy p. de Tassy.

Rozprawa ta jest o, jak widzimy, szczegółów podaje niewiele, gdyż dotyczy jednej tylko, choć może najważniejszej gałęzi życia społecznego. Ale ma ona z tej strony swą wartość, iż zwraca uwagę na to jak jednak oświata dziś jest uprągeioną, kiedy ludności nawet napół dzikie, przez lekkie zetknięcie się z cy-

wilizacją, podejmują z własnego natchnienia tak olbrzymie usiłowania ażeby wyjść z ubliżającego ludzkości stanu. Myśl może pójść dalej i zapytać się, co będzie jak na ostatnich krańcach Azji, wśród ludności kilkadziesiąt milionowej, rozrośnie się na dobre ta prawdziwa oświata, której kiełki w ciągu dziesięciu lat tak się już szeroko puściły? Przybyłby wtedy nowy świat idei, wynalazków, kunsztów, ulepszeń wszelkiego rodzaju, jaki dziś przedstawia Ameryka północna, która w ciągu półwieku już się intelektualnie zrównała z Europą, a po pół wieku zaczęła ją pierwszeństwem swem przewyżać. Indie, prawda, nie są w tych samych warunkach: ale ludność stu milionowa, jeśli tętno postępu na dobre zadrga w jej piersi, łatwo sobie stworzyć może nowe warunki, czy one wypowiedzą się w języku hindi, czy urdu, czy nawet w języku John Bulla.

K. Kaszewski.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Śród tego zamętu wzburzonych żywiołów, wśród tej dzikiej muzyki rozszalałej natury, Bolesław wioził Wincunię. Traf oddał ją raz jeszcze w opiekę jemu. Milezeli oboje, konie postępowyły z trudnością wśród coraz wzrastającego nawału śniegu, dość prędko jednak pociągały za sobą sanie zachęcane niekiedy głosem Bolesława. Jakie były wówczas myśli tego człowieka, który po długim rozłączeniu, znalazł się znowu z tak bardzo ukochaną przez się kobietą — sam na sam? Między przestrzenią pełną przerażających odgłosów, pod chmurnym niebem na którym nie było nawet ani jednej gwiazdy coby na nich patrzeć mogła? Czy w piersi jego wiała taka sama burza, jaka wstrząsała przyrodą? Czy dawne uczucia ostygły w niej i teraz już nie dotykały strun jego serca.

Czy człowiek ten rwał się do spokoju, czy był spokojnym w istocie? Trudno było odgadnąć ale ile razy wicher rozpędził chmury na kawałku nieba, i tuman śniegowy rozpadłszy się po ziemi przezoczystym zostawił powietrze. Wincunia widziała wyraźnie postać jego silnie trzymającą lice, i zda się samą jedną spokojną wśród burzy ogólnej. Niekiedy spostrzegła profil jego twarzy, była ona błądą i surową; parę razy zwrócił się ku niej, poprawiał futro pokrywające jej nogi i pytał czy jej nie zimno. Głos jego był całkiem spokojny, Wincuni wydało się, że obok spokoju dźwięczała w nim pewna niezwykła mu surowość: przytem Bolesław mówił cicho i z trudnością. Czy głos jego głuźony był wrzawą wicherów? Czy tłumiała go wrzawa wewnętrznej jego burzy? A jakież były myśli Wincuni, która ujrzała siebie znowu z tym samym człowiekiem, co wypielgnował jej dzieciństwo, ukształcił jej ducha, ukochał ją i w ręce jej złożył swoje szczęście, a którego ona odrzuciła, oddaliła od siebie i tak długo nie widziała? Smutne musiały być te myśli, bo młoda kobieta pochylała głowę i znowu ukryła twarz w futrzany zarękawek, a Bolesławowi wydało się, że razem z szelestem lecającym po ziemi śniegowej kurzawy, dosłyszał za sobą odgłos westchnienia. Nie obejrzał się jednak, tylko gdy rozstąpiła się chmura pędząca z przodu, twarz jego ukazała się bardziej jeszcze błądą, bardziej surową niż była.

Niekiedy tracili drogę wśród zamieci, Bolesław powstrzymywał konie, zsiadał z koźła i odnalazłszy ślady sań, które utorowały drogę, wracał na swoje miejsce. Wincunia zwróciła się raz ku niemu i rzekła:

— Mój Boże, jak się też pan dla mnie utrudza! Bolesław nie odpowiedział: Wincuni zdało się że po ustach jego przemknął dziwny jakiś uśmiech.

Raz po odnalezieniu straconej drogi, Bolesław nie usiadł od razu na swoje miejsce, stanął przy saniach i zaczął wsłuchiwać się w burzę.

— Nie prawdaż pani, ozwał się po chwili, że te huk i grzmoty wiatrów, to jakby odgłosy olbrzymich walk, przekleństw i szamotań się milionów ludzi dochodzące ze wszystkich stron świata.

— A te dalekie jęki i westchnienia podobne są do narzekań ludzi płaczących po swem utraconem szczęściu, odrzekła cichem głosem Wincunia.

Bolesław żywo zwrócił ku niej głowę, zdawało się że jakieś słowo, jakiś wykrzyk miał wyrwać się z ust jego, nie jednak nie rzekł, prędko usiadł na swoim miejscu i zawołał na konie.

Pod gajem błysnęły światelka. Dojeżdżali już do Niemenki.

— Jesteśmy u kresu naszej podróży, rzekł Bolesław i w kilka chwil potem oboje stanęli na ganku Niemenkowskiego domu. sanie Bolesława tuż za nimi wyjechały na dziedziniec.

— Spodziewam się rzekła Wincunia, że pan wstąpisz do mnie choć na chwilę i rozgrzejesz się ciepłą herbatą.

— Nie pani, odpowiedział Bolesław, nie jestem bynajmniej zziębnięty i muszę śpieszyć do domu... Ton jego był stanowczy.

Wyciągnął rękę do Wincuni na pożegnanie, ona mu swoją podała i zdziwienie odmalowało się na jej twarzy. Mimo wielkiego chłodu dłoń Bolesława była rozpalona; spojrzęła na twarz jego na którą padało światło świecy stojącej w oknie — wydawała się ona zupełnie spokojną.

W kwadrans potem stary Krzysztof, który dnia tego spodziewał się już powrotu swego pana, otwierał przed nim drzwi Topolińskiego domu i śmiejąc się głośno z radości, pomagał mu zdejmować futro.

Nagle urwał się śmiech na ustach poczciwego sługi, w oczach jego odmalował się przestach.

— Chryste panie! zawołał, a co to panu takiego? Czy nie chory pan broń Boże!

Bolesław był niezmiernie błądą, oczy mu pałały gorączkowo i drżenia nerwowe co moment przebiegały po ciele.

— Nic, mi nie jest, kochany Krzysztofie, rzekł tłumnym głosem, przeziębłem trochę.

— O! tak! ja mówię że te podróże zimą, to zawsze na złe wychodzą: siadź że pan przy ogniu, zaraz herbaty przyniosę.

I stary zaczął krzątać się po pokoju gderząc i mruczając.

— Niczego mi nie potrzeba, mój poczciwy Krzysztofie, rzekł Bolesław, herbaty pić nie będę, zostaw mnie samego.

Krzysztof pokręciwszy się jeszcze po pokoju i pogderawszy wyszedł, wprzódy jednak położył na stole przed krzesłem na którym zwykle siadał Bolesław, list zapieczętowany.

Po wyjściu sługi — Bolesław rzucił się na krzesło, ukrył twarz w obu dłoniach i ciężko westchnął. Okropny przymus jaki zadawał sobie przez dwie godziny, wyczerpał na chwilę jego siły. Maska obojętności jaką z ogromnym wysiłkiem woli włożył był, opadła, i gdy ujrzał się sam, wrażliwa jego natura dopominała się o swe prawa. Dzisiejsze spotkanie wstrząsnęło całą jego istotą. Wszystkie wspomnienia odżyły w wyobraźni, wszystkie przebolełe uczucia zawrzały w sercu, — odnowiły się, wzmogły. Wincunia ukazała się jemu stokroć piękniejsza niż dawniej, opromieniona dojrzałością ducha, który przeleżał w jej spojrzeniu, światlejszy, wyraźniejszy niż wprzódy: uroczą smętkiem i słabością fizyczną uwładniającą się w jej przezroczyściej cerze i wiotkiej postaci. On w sercu swem nie zachował do niej najmniejszego żalu, ale gdyby i została w niem była jaka kropla goryczy, dziś wszystko jej przebaczył, o wszystkim zapomniał, widział tylko że na drodze jej życia stało widmo nieszczęścia i czuł że kocha ją, kocha ją, więcej jeszcze niż dawniej, a siłą zdwojoną rozłączeniem i twogą o jej przyszłość, kocha ją do ostatnich granic możebności.

Duch jego ugiął się na chwilę, zbuntowany przeciwko losowi. Podniósł głowę i ukazał twarz zalaną wyrazem boleści graniczącej z rozpaczą. Machinalnie wpatrzył się w pismo leżące przed nim na stole a im dłużej patrzył tem swietlejszy promień rozjaśniał posępne chmury, nagromadzone na jego twarzy. W końcu rzekł z cicha z niewysłowionym wyrazem moralnej pociechy.

-- Od Andrzeja!...

Otworzył list i przebiegł go oczami przy żywym świetle kominkowego ognia. Im dalej czytał tem większe uspokojenie rozlewało się po jego twarzy: rozpacz uprzednia znikła z oczów, a zastępował ją zwykły mu łagodny smutek. Oparł głowę na rękę, położył papier przed sobą i wpatrywał się w pismo przyjaciela.

Usta jego poruszały się powoli cichym szepceniem, niby powtarzając zmęczonemu sercu słowa zachęty i pociechy, czerpane z kartki leżącej przed oczami.

Długi list p. Andrzeja kończył się słowami:

„Pamiętaj o tem że nie jesteś u kresu cierpień życiowych. Jakiegokolwiek doświadczałeś już boleści i jakiegokolwiek spotkają Cię dalej, zawsze przyjdą po nich inne jeszcze i inne i do nich masz gotować duszę swoją. A choćby one niezmiernie były, choćby się wydawały większe niż siły twoje, nie rozłączaj się nigdy z myślą że *nie wolno* Ci ugiąć się pod nimi. Głęboko zapisz w twój pamięci wyraz *nie wolno*. Pospolity on i twardy na pozór, ale tkwi w nim prawda i powinność, które mają stać na straży twego życia. Cierpienia twoje do ciebie należą, praca twoja, myśl i działalność są własnością ogółu. Zrywając je dla jakiegokolwiek osobistych przyczyn, rozmiągając się z nimi lub zwalnając je choć na chwilę, popełnisz kradzież, bo odbierzesz ogółowi wyniki twojej siły duchowej, do których on ma prawo. Będziesz wiele cierpieć ale nie przestawaj być mężnym: stopy twe pokrwawiają się na kamienistej drodze życia, ale stawiaj je niemniej śmiało i ciągle naprzód, a idąc tak z ciężkością lecz wytrwale, nie patrz na ciasny kraniec własnego widnokręgu, ale okiem myśli wybiegaj w świat szeroki i obejmuj go taką miłością, która zagoi rany twego serca i tłumem wysokich uciech napełni twoją samotnię, z której znikły marzone przez cię uciechy.“

Noc była głęboka, gdy Bolesław pisał do p. Andrzeja odpowiedź na list otrzymany przed chwilą:

„Tak, zacny przyjacielu, nie jestem u kresu moich cierpień i bodaj, czy nigdy kresu one mieć nie będą. Byłem smutny ale spokojny, dziś spotkałem Wincunię i znowu burza zawrzała we mnie. Przetawiałem być panem siebie, rozpacz wparła się do moich piersi przemocą, i kto wie? może długo, może nigdy nie odnalazłbym siły mego ducha, gdyby nie słowa twoje, które znowu powitały mnie w chwili boleści. Przyszedłeś z nimi w samą porę, dzięki Ci za to! Spotkałem cię po raz pierwszy w porze szczęścia i pogody, a dalej postępuję z bratnim twym duchem po drodze niespodziewanych cierpień. Śród niej idziesz obok mnie w roli sumienia i rozumu, — wspierając mnie ile razy się ugnę, przypomnieniem powinności i serdecznie umiłowanych celów mego życia. „Przed dwoma godzinami byłem zgnębiony, zroszczony, pełen strasznych skarg wewnętrznych i zwątpień, po odczytaniu listu twego i długim rozmyśleniu nad jego treścią, stałem się do tyła przytomnym i władającym sobą, że mogę ci zacny i mądry przyjacielu, choć pobieżnie opowiedzieć o sprawach, które zajmowały mnie najmocniej, w ostatnich czasach.“

Dziś powróciłem z powiatowego miasta, gdzie uzyskałem nareszcie pozwolenie, na wzniesienie w X. szpitala dla chorych chłopków i żydów i umieszczenie przy nim stałego lekarza. Szpital ten zbudowany i urządzony z jednorazowych składek, zebranych w całej okolicy od ludzi bogatych i oświeconych, będzie utrzymywany dalej kosztem klas, które będą z niego korzystały. Inicyatywę do tego zakładu dał nasz zacny proboszcz, ja poparłem u sąsiadów myśl jego i utworzyliśmy w tym celu rodzaj komitetu, złożonego z kilku ludzi najoświeconszych w okolicy i najbardziej dbałych o dobro powszechne, w celu jak najlepszego ułożenia planu całego przedsięwzięcia, obrachowania jego kosztów i t. d. Muszę też dodać że do małego tego obradającego zebrania, za moją przyczyną i namową został wezwany młody Aleksander Snopiński. Sądziłem że szlachetna myśl obudzi w nim szlachetne popędy, i ten pierwszy krok na drodze publicznego działania, wprowadzi go na dalszą drogę poważnych dążeń. Zrazu wydało mi się że się nie omylił. Zajął się był żywo naszymi projektami i obradami, złączył się z nimi gorliwie i muszę przyznać, że rzucił nam nawet parę świątliwych i trafnych myśli. Z niewypowiedzianą przyjemnością patrzyłem na to ciesząc się w duchu nad wyraz, że jeden z członków towarzystwa do którego należę i to mąż kobiety o której przyszłość dbam więcej niż o własną, zaczyna nabierać zacnych i poważnych zamiłowań. Niestety! radość ta krótko trwała.

Pan Snopiński gorliwy i ochotny na pierwszych posiedzeniach naszego małego komitetu, na trzecim był roztargniony, na czwartym znużony zupełnie, — na piątę już nie przybył wcale i w końcu uchylił się całkiem od zajęć naszych. W człowieku tym są dobre popędy, ale nie ma dostatecznie wyrobionej siły do zmieniania ich w stałe dążenia zasady. Podana

mu dobrą myśl, chwyciła zrazu gorączkowo: ale prędko ostygła i umysł jego nawykły do próżnowania, nużył się wkrótce i zwraca ku lekkim przedmiotom, do których przywykł, lub całkiem usypia. Zdolności nawet bardzo żywych i energicznych mu nie brak, to nawet czego nie umie i o czem pojęcia nie ma, zdaje się odgadnąć siłą intuicji i wrodzonego sprytu, ale te niepospolite zdolności przytłumione są grubą warstwą zaniedbania. Myśl jego porównać można, do niezmiernie urodzajnego, ale opuszczonego pola, im więcej w nim soków żywotnych tem bujniej i gęściej porastają na nim chwasty, niekiedy rozkwita wśród nich kwiat piękny, świadczący o sile gruntu, ale wnet usycha i opada zagłuszony chwastami.

Studiałem tego człowieka z całą mocą mojej przenikliwości ilem razy go spotkał — zaprawdę! nikt mi nie odmówi prawa do tych studjów, bo oprócz tego że jest on moim rodakiem, a zatem wedle mnie jednym z braci moich, w ręku jego jeszcze leży przyszłość istoty, którą ze wszystkich ludzi najgoręcej ukochałem! Otóż przyszedłem do wniosku, że gdyby człowiek ten był inaczej wychowany, miał szerszą wiedzę i poważniejsze przyzwyczajenie, mógłby posiadać niepospolity umysł i energiję działania w moc wrodzonych zdolności i wielkiej siły żywotnej, która w nim leży. Dziś zdolności te zwróciły się ku fraszkom i dogadaniu samemu sobie, siła wewnętrzna stworzyła gorączkowe rwanie się ku hulaszczym rozrywkom i zmysłowemu uciechom. Dziś głównymi wadami jego są samolubstwo i rozpasane w próżniactwie, bezładne obyczaje. Chyba cud jaki zbawił go i na dobrą drogę wprowadzić zdoła. Jeżeli cud się nie stanie, jest on zgubionym człowiekiem... a ona? Przejrzałem ją dziś do głębi i wiem z pewnością, że już cierpieć zaczyna i mieć objawienia swjej smutnej przyszłości. Groźna ta dola jej stanowi największą część żalu mego i cierpienia.

Daj Boże abym się mylił, ale widzę przed nią stanowcze i nieuniknione nieszczęście on ją już nie kocha... jeśli to uczucie które miał dla niej, — szła zmysłów i fantazji młodzieńczą można było kiedy zwać miłością... Zdaje mi się jednak, że i te cienie miłości już zniknęły, i wkrótce żona stanie się mu ciężarem, — kulą u nogi... Oprócz tego zrujnuje się on majątkowo niechyba, zamierza podobno stać się dom nowy, który w zmniejszeniu ma być wystawiony na podobieństwo pałacyku pani Karlicz w Piasecznej. Niemenka runie pod ciężarem tej miniatury mieszkania bogatej pani, zresztą powozy, goście, meble z Warszawy, a gospodarstwo zaniedbane... w przeszłym roku nie prawie z pół nie zebrano... Wincunia po raz drugi zagrożona jest nędzą — ha! ja tu jestem i po raz drugi oddalić od niej potrafię to ciemne widmo, ale jakże uchronię ją od cierpień moralnych, niepokojów domowych i od zawodów rozczarowania których posępny wschód widziałem dziś w jej chorobliwym przezroczyściej cerze i smutnem spojrzeń? To już nie jest w mej mocy, a gdy o tem myślę... brakuje mi na chwilę sił do kreślenia tych wyrazów spowiedzi, przed tobą jedyny mój przyjacielu...

„Trzeba jednak abym ci opowiadał dalej o losach naszego przedsięwzięcia — znasz serca ludzkie więc nie zdziwisz się, że do opowiadania tego wniósł się wykrzyk boleśny serca i gorące wspomnienie kobiety... Choć rozłączony z nią na zawsze, z nią jestem ciągle i widzę ją nieustannie przed sobą, a widzenie to nie szkodzi mi, bo postać jej umieściłem w najpromienniejszej sferze moich myśli i celów. Idąc więc ku niej, dążę ku nim, zresztą niech osobiste bóle i miłości mieszają się co chwilę z ową warstwą szerokich pojęć i uczuć, o których mówiliśmy z sobą kiedyś, niech tylko nie rozmiękają jej gruntu.“

„Tak tedy po kilku posiedzeniach, stanowczo obmyśliliśmy i ułożyli plan szpitalu, a następnie przedstawiliśmy go wszystkim sąsiadom i wezwałem ich do składki. Ta część dzieła poszła z niespodziewaną łatwością. Tym razem przedstawienie dobroczynnego planu odbyło się w licznych zebraniach w domu Siankowskich. Komitek nasz mnie wybrał na mówcę i tłumacza swych myśli. Opowiedziałem jak mogłem o korzyściach i potrzebie zakładu, a gdy skończyłem, z wielkim zdziwieniem ujrzałem przy oczach starych a zapał we wzroku młodych sąsiadów. Zachęli mnie ścisnąć, i całować, wyprawili mi małą owację a następnie wszyscy sięgnęli do kieszeni. Ogólna summa składki przeszła wszelkie oczekiwania: nie było między nami wcale bogatych ludzi, ale było nas wielu a jak mówi przysłowie „gromada to wielki

człowiek!“. W czasie gdy każdy składał swój dar na tacy postawionej w tym celu na stole przez córki gospodarza domu, pilnie obserwowałem fizjonomję dających, aby zbadać wewnętrzne pobudki skłaniające ich do dawania. Największą liczbą była tych którzy kładli pieniądze z chwilowego popędu, zapału, rozczulenia: ci dawali średnią sumę. Po nich było jeszcze wielu dających przez próżność i chęć pokazania jawnego dostatków swych lub filantropji: ci dawali więcej od pierwszych.

Najmniejszą liczbą była tych, którzy składali ofiary z gruntownego przekonania o ich użyteczności, ale ci dawali najwięcej, więcej nawet niżby w istocie wymagały ich środki.

Aleksander Snopiński położył na tacy najznaczniejszą sumę, i spojrzawszy przelotnie na wszystkich, czy widzą wielkość jego daru. Miałem ochotę powiedzieć mu, aby lepiej dał mniej, ale położył pieniądze swój tak iżby tego nikt nie widział. I komu innemu powiedziałbym to może z powodu starszego wieku i dobrych chęci, ale względem Aleksandra słowa moje mogłyby uść za osobistą urazę, a więc chybić celu. Wincuni nie było na tem zebraniu, podobno od czasu jak została matką, rzadko wyjeżdża z domu i w istocie dziś to po raz pierwszy ją spotkałem...

Koniec końców plan był ułożony, pieniądze zebrane, i pozwolenie Władzy gotowe. Na wiosnę, to jest za miesiąc dom szpitalny zacznie budować się w X. Muszę dodać że hrabina X. zawiadomiona przez swego plenipotentę przysłała rozporządzenie, aby drzewo na tę budowę, wzięte było z jej lasów a p. Karlicz podobno za wstawieniem się Aleksandra, w porze gdy projektem naszym gorączkowo był zajęty, ofiarowała swoich domowych płatnych przez nią rocznie rzemieślników.

Tak więc za jakie pół roku, zakład rozpocznie swoje czynności. Niezmiernie dobrze splotnie zjad na okolicę. Dotąd biedni ludzie chorują i umierają prawie zawsze bez lekarskiej pomocy, co więcej, wzywają ratunku znachorów i czarowników, którzy popychają ich ku śmierci i zaciemniają ich umysł mrocznym guseł i wiarą w czary. Teraz każdy chory żyd lub włościanin, będzie mógł udać się do szpitala, gdzie znajdzie obszerne izby, zdrowe powietrze, pokarm odpowiedni, lekarstwo i doktora. Doktor ten oprócz tego będzie obowiązany z pomocą dwóch felcerów, objeżdżać okolicę i przestrzegać, zachowywania przepisów higieny. Jeżeli trafimy na człowieka pracy i przekonania, mam nadzieję że potrafi on może wlać w niskie warstwy ludowe, zamiłowanie czystości i porządku, które stanowią główną rekojmję publicznego zdrowia. Dwory szlacheckie odniosą też niemałą korzyść ze stałego pobytu w X. lekarza, gdyż dziś zmuszeni jesteśmy w razie choroby, posyłać po niego o mil kilka. Ułożyliśmy jednak, że pierwsze tylko wzniesienie zakładu ma być kosztem dobrowolnych ofiar spełnione, — a następnie chorzy płacić będą za pobyt swój w szpitalu. Postanowienie to wynikało z przekonania, że jałmużny na nie się nie przydały, chyba w razie zupełnego i stwierdzonego ubóstwa, a zbawienne jest jeśli każdy zapracuje sobie tak na życie w zdrowiu jak na otrzymanie ratunku w chorobie. Z tem właśnie będzie najtrudniejsza sprawa! Jak tu wmówić chłopom, aby nie wierzyli znachorom i płacili za lekarstwa, żydom aby się powierzyli Chrześcijańskiej opiece? Na szczęście kapłan nasz ma wielką wziętość u pierwszych, a ja nie wiem jakim sposobem natchnąłem szczególniejszą ufnością ku sobie drugich do tego stopnia, że nie raz zamiast do Rabina, przychodzą do mnie, abym ich sądził w ich sprawach, co miż niekiedy serdecznie rozśmiesza. Mam więc nadzieję, że gdy do nas dwóch dołączy się jeszcze kilku ludzi dobrej woli i wiary, propaganda nasza pójdzie żwawo i dobrze i zdołamy przekonać tych biedaków, że lekarstwa przygotowane w aptece są tysiącokrotnie skuteczniejsze jak czary i zamawiania bab, że doktor więcej umie jak znachor i że w porządnym, czystym izbie szpitalnej, człowiek łatwiej wyleczonym być może jak w dymnej chacie. Da powodzenia naszym w tej mierze przedstawieniom, liczę bardzo na doktora, który na wiosnę ma już przybyć do X dla stałego tu zamieszkania. W klasie specjalistów łatwiej o ludzi przekonania, bo sama nauka już je w nich wieła, a gdy doktor do przekoła i głębokich dotaczy jeszcze gorące serce i miłość dla ludzi, to już pewno będzie to mocna i wielka dusza, która wiele dokazać zdoła.

„Ta walka z ciemnotą którą nam stoczyć przyjdzie więcej mi smuci niż przeszkadza. Za dokaże-

my swego, rękojmą nam jest szczerą chęć naszą i silną wolą, ale sam fakt jest niezmiernie smutny. W naszym to więc oświeconym niwy wieku, są jeszcze miliony ludzi, którym z największym trudem przychodzi wmawiać pożytek najelementarniejszych prawideł, prawideł higieny i ekonomji społecznej, ludzi którzy nie mają najmniejszych pojęć o dobrodziejstwach nauki, przeciwnie lękają się jej i wołają opłacać oszustów, których zwą czarodziejami niż ludzi mogących im przyjść z rzetelną pomocą! Te myśli nasuwają mi marzenia o szkółce ludowej, która obok szpitala stanęła, i o nauczycielu wiejskim któryby rozjaśniał umysł młodego pokolenia w czasie, gdy doktor zajmowałby się leczeniem ich fizycznych cierpień...

„Świetne to marzenie, za niem postępują inne i inne jeszcze i końca nie ma tym pragnieniem jakie się tworzą, w sercu dla dobra tych, którzy na wspólną ze mną ziemi mieszkają...

„Ale nie czas jeszcze — trzeba wprzód jedno dzieło przyprowadzić do końca a potem dopiero brać się do drugiego: gdy wiele rzeczy razem się rozpoczyna, żadna nie będzie spełnioną jak należy, rozwagi, wytrwałości i cierpliwości...

II.

MŁODE MAŁŻEŃSTWO.

Idziesz sobie drogą życia powoli z trudnością, jak wiadomo idzie się zwykle po grudzie i ślocie, a w podróży dla rozrywki lub korzyści, przypatrujesz się postaciom i fizjonomiom tłumu spółtowarzyszy, którzy wędrują razem z tobą — mniej lub więcej podobni do ciebie, ale niezawodnie dążą do tego samego celu, który u kresu stoi blady i niemy a nazywa się — śmierć. Patrzysz więc na jednych którzy postępują jęcząc i stękając za każdym krokiem, na innych którzy każdą piędź przebytej ziemi oblewają łzami z pod serca wytoczonemi, na innych co ciągną za sobą nieustannie ciężki plug pracy, a oczami pełnemi miłości, patrzają w koło lub z nadzieją podnoszą je ku niebu — i na takich co pelzają po ziemi, niwy brudne płazy tarzając się w błocie i kurzu, i na innych jeszcze którzy skacząc jak pliszki i podlatując jak motyle, z pustym śmiechem i hulaszczą pieśnią przechodzą połowę drogi a potem, padają znużeni w bólach i z uśmiechem bez wiary na ustach dopelzają do wszystkim wspólnego ula. Patrzysz na to wszystko i myślisz sobie, mój Boże! jakże oni wszyscy biedni smutni lub wstrętni. Ci skrawione serce niosą na twarzach, ci uginają się pod ciężarem pracy dla której nagroda daleka, tamci ot skaczą i śpiewają lecz tuż tuż upadną i będą najniezszczęśliwsi, bo w sercach nie zostanie im ani jedna iskra pocziwowej miłości, a natomiast napełnione one będą bezmiernem szcyderstwem. I cóż więc prawiono mi o cudach tej ziemi gdym w dzieciństwie oczy dopiero na świat otwierał? Gdzież to wesele, te blaski, te szczęścia chwile rozliczne o których śniłem gdy mi poraz pierwszy dusza młodym ogniem zawrzała? Co pocieszy wzrok mój? na czem spocznie oko? czem się zachwyci serce? Gdy tak idziesz i dumasz, przelatuje obok ciebie cudowne zjawisko. To dwoje ludzi mężczyzna i kobieta. Zdaje się że idą po ziemi a jednak nie dotykają jej; lecą, lecą, owiani różnami chmurami, które zakrywają przed nimi świat cały tak, że on już ją tylko, a ona jego widzieć może. Oczy ani ku ziemi spuszczaają ani je wznoszą do nieba, ale tylko ciągle — z zachwytem wpatrują się wzajem w swe twarze. On kibić jej ujmuje ramieniem, ona rękę na jego czole złożyła a usta złączone pocałunkiem...

Mówisz do nich nie słyszą... zachodzisz im drogę, mijają cię jakbyś był nędznym robakiem w obliczu ich promiennej światłości... i do tego stopnia są zatopieni w sobie: że gdybyś nawet do kobiety zawołał: piękna! nie zwróci się ku tobie, gdybyś przed mężczyzną postawił najczarowniejszą z kobiet na ziemi, ani spojrzy na nią... Na czołach ich gloria szczęścia, u ramion skrzydło splecione z miłości i zachwyty, z ust połączonych pocałunkiem tryskają płomienie...

Patrzysz zdziwiony, zachwycony i pytasz spółtowarzyszy — co to za świetne zjawisko? kto są ci półbogowie co śmia blaskiem szczęścia zaćmiewać oczy cierpiących, zmęczonych, smutnych.

Słyszysz odpowiedź: to młode małżeństwo!

I wszystkie otaczające piersi połączają się westchnieniem wydając okrzyk: szczęśliwi!

Chcesz znać dzieje tych dwojga w niebo-branych? Oto są one. On był młody i ona była młoda, posiadali wdzięki młodości i serca młode, spotkali się, uczuli do siebie pociąg wzajemny, zrazu silny, potem silniejszy, potem najsilniejszy, powiedzieli sobie wzajemnie kocham! poszli do stopni Ołtarza. Książdz związał ręce — rzucili się sobie w objęcia i odtąd lecą przez świat rozkochani — bez pamiętnie...

Pytasz czy przejrzeni się wzajem do głębi? czy dusze ich takim samym pocałunkiem złączone jak usta? Nie, bo gdyby tak było nie widziałbyś ich zachwyty, skryły by się one przed wszelkim wzrokiem głęboko jak kryje się zwykle każde głębokie uczucie...

Pytasz czy dawno lecą tak? tydzień, miesiąc może... Czy długo tak lecieć będą? Rok jeszcze najdlużej. A potem co? potem rozplotą się ramiona, odwróca od siebie usta i serca i zamiast lecieć, będą wlec się po ziemi kulejąc i stękając...

Czemże więc jest to uczucie które dziś tak spaja ich i unosi? Szaleńcem ciał w których dusze niemają żadnego udziału...

Czemże ich szczęście na tym szale oparte? Bańka mydlana, która błyszczy barwami tęczy, ale nim godzina upłynie na zegarze wieków, pęknie, stopnieje bez śladu.

Przym to sobie za zasadę badawczy wędrowcze, że jeżeli ujrzysz młode małżeństwo zwracające na siebie wszystkie oczy gorączkową siłą swego rozkochania, jeśli ujrzysz częste pocałunki i ciągle a widoczne zachwyty, jeśli wśród tych zachwyty zobaczysz powagę na czole mężczyzny, a zamyślenie w oczach kobiety, nie mów o ludziach tych; szczęśliwi! ale mów, biedni! bo im słodszy sen tem sroższe będzie przebudzenie — im wyżej wleczą, tym niżej upadną. Publiczne demonstracje miłości to rzecz podejrzana. Jeżeli już nie fałsz to szal w nich leży. A gdzie jest szal tam nie ma rozumu, a gdzie nie ma rozumu tam szczęście... kruche. Nie jeden znużony smutnymi widokami tej ziemi wędrowiec, z rozkoszą zatrzymał wzrok swój na młodej parze państwa Snopińskich.

Kiedy pobrali się jeden tylko o nich rozległ się okrzyk, szczęśliwi!

Byli w sobie tak rozkochani że nie widzieli w koło siebie nic i nikogo — Aleksander w obec mnóstwa świadków porzywał młodą żonę w objęcia, ona rumieniła się ale z lichwą oddawała mu pocałunki...

Nie można było dość napatrzeć się na nich tak byli zgodni w zdaniach, chęciach, gustach. Co ona chciała on chciał, co on chciał ona chciała. Dziewice zazdrościły jej, młodzieńcy jemu, powiadano że oboje urodzili się w wieńcach. Przepowiadano że istnienia ich popłyną jak biblijne rzeki mlekiem i miodem...

Któs raz odważył się zaprzeczyć temu, powiedział że obawia się o przyszłość tego młodego małżeństwa. Dla czego? zapytano chórem. Mizantrop odpowiedział znaną ludową piosenką:

Ożenił się młodyj
I wziął wesnowatu,
Nie umieli szczo robyty
Podpałyły chaty!

To znaczy że są za młodzi? spytano. Tak, była odpowiedź!

Oburzenie powszechne! więc starzy tylko mają się żenić?

— Nie, ale też i nie dzieci.

Któs drugi z innej jeszcze strony rzecz tę uważał.

— Teraz to dobre, rzekł, ale będzie źle z nimi.

Dlaczego? spytano z uśmiechem niedowierzania.

— Bo on ma pańskie gusta i zwyczaję, a ona sobie zwyczajnie szlacheckie dziecko.

Ale najsmieszniejszym w złych przepowiedniach dla młodej pary był pewien pan Tomasz, starzec czerstwy jeszcze o włosach i wąsach jak śnieg białych i uchodzący w okolicy za wielkiego oryginała. Miano to dostało mu się za to, że bardzo czysto sprzeciwiał się ogólnemu zdaniu, a wypowiadał wręcz przeciwne z którym rzadko cała parafia zgodzić się mogła.

Stał tedy sobie raz pan Tomasz w swoim mieszkaniu przy kominie, i wygrzewając plecy przed ogniem rozmawiał z przybyłym w odwiedzin sąsiadem.

— Waspan z Niemenki jedziesz?

— Tak, panie dobrodzieju.

— A cóż tam z młodem Snopińskimi?

— A cóż: szczęśliwi ludzie!

— He? spytał p. Tomasz.

— Szczęśliwi ludzie! powtórzył głośniejszym głosem sąsiad.

— Przepraszam! myślałem że nie dostyszałem, sądziłem że sąsiad powiesz: niezszczęśliwi!

— A toż znów zkąd? w miesiąc po ślubie! rozkochani w sobie na zabój!

— Czy takimi się wydają? mospanie.

— I jak jeszcze!

Pan Tomasz pokiwał głową znacząco:

— To kiepsko, mospanie, rzekł po chwili.

— A toż czemu panie dobrodzieju? daj Boże każdemu takie niezszczęście! Na krok odstąpić siebie nie mogą i żeby pięćdziesiąt osób było koło nich, on zawsze siedzi przy niej!

— Żeby pięćdziesiąt osób było, to on ciągle przy niej siedzi? To kiepsko, mospanie! powtórzył p. Tomasz.

— Na przenosinach w Niemence było huk gości, a oni ciągle siedzieli przy sobie trzymając się za ręce, a co moment patrząc tylko było jak całują się gdzie w kątku!

— Był huk gości a oni całowali się? To bardzo kiepsko mospanie! raz jeszcze rzekł z zamyśleniem p. Tomasz.

— Co bo sąsiad dobrodzieju wszystko mówi: kiepsko, a cóż może być lepszego jak kiedy młode małżeństwo kocha się wzajemnie?

— To bo i bieda że oni nie kochają się! serjo wyrzekł starzec.

— Jaktó! zawołał z oburzeniem sąsiad, pan do dobrodzieju myślisz że udają?

— Broń Boże! ale im tylko zdaje się że kochają!

Sąsiad wzruszył ramionami.

— Byle im dobrze z tem było, rzekł.

— Otóż to! że długo dobrze nie będzie! słuchaj waszmość, znałeś Marjankę S. i jego żonę i widziałeś jak byli rozkochani w sobie po ślubie, także nie mogli na jeden dzień rozstać się, a całowali się sześćdziesiąt razy na godzinę co wypadło po jednym razie na każdą minutę — a teraz wiesz waszmość co się z nimi stało. Trzy lata tylko minęło od ślubu a już do rozwodu podobno idą. A dla czego? bo on głupi i flegmatyk, a ona wykształcona i żywa, co znaczy, że u niego dusza inna a u niej inna. Kiedy szli do ślubu, to nie patrzyli na swoje dusze, tylko na swoje oczy, a że jemu podobały się jej oczy a jej jego, to i zdało się im że już kochają się, a jak się doś na swoje oczy napatrzyli to i miłość poszła na suche lasy! A Józia M. znasz? widziałeś jak był po ślubie ze swoją żoną? Strach! jak kochali się! a teraz co? Jegomość do lasa a Jejomość do sasa! dla czego? Bo on z nią żenił się dla tego, że ona ładna i familiantka a ona wyszła za niego, bo miał piękny folwark. Potem pokazało się, że Józio porządny chłopiec i rozsądny, a jego żona lalka malowana, co tylko rada przed lustrem siedzieć i zalecanki do młodzieży stroić. Ona nie kontenta z tego, że on oddaje się gospodarstwu i nie lubi ciągle szastać się po świecie, on nie pozwala jej tracić fundusze na galganki, a kiedy widzi że żonka piękne oczki robi do tego lub owego, zazdrości, unosi się i w domu ciągnie kłótnia i obraza Boska! Ot i znów dusze nie dobrały się choć oczy dalibóg dobrane, bo i u jednego i u drugiego bardzo niezszpetne.

Wspomnienie młodości.

Witaj stary kościółku w odwiecznej strukturze,
Gdzie na nitce pajęczej, na wilgotnym murze,
Dotąd się mój paciorek niemowlęcy chysta
Lub błyszczy się na szybach moja łza rześista,
Gdzie na wielkim ołtarzu otwiera swe rany,
Chrystus łzawy i krwawy, sznurem skrepowany;
A w Jego świętych oczach boleści tak wiele,
Że ludzkość kiedy patrzy do stóp się Mu ściele,
Bije czołem o marmur, łzami płucze oczy,
Boleść Bożą ze swoją boleścią jednoczy.
Gdy drżący śpiew kapłana ze szmerem pacierzy,
O wilgotne kościółka sklepienie uderzy,
Serca się do wspólnego spajają łańcucha,
I upadał deszcz łaski co w mocy ma ducha,
Czułem w dziecięcej piersi tego deszczu echo,
To strachem bogobojnym, to świętą pociechą,
I śmiało podnosiłem młody wzrok do góry,
I lepszy wychodziłem, niżli wszedł w te mury.

Prosty to był kościółek a miał trzy ołtarze:
W pierwszym Chrystus uwiązany sznurem przy filarze,
W drugim Bogarodzica, a w trzecim Antoni
Z niemowleciem na ręku i z liliją w dłoni.
Po ścianach Apostoły a każdy jak żywy,
Piotr z kluczami od niebios jak gołąbek siwy;
Paweł z twarzą ognistą i strasznym orężem,
Tomasz z sercem u boku, Jan z czarą i węzłem,
Patrzają ze starych płócien, tylko czekasz słowa,
Jak z ich oczów wytryśnie prawda Chrystusowa.

Organ stary, piskliwy a rwał serce przecie,
Gdy zagrał Święty Boże, po drugie, po trzecie,
Albo w dzień Zmartwychwstania, wśród świętej ofiary,
Gdy huknął Alleluja organista stary:
W sercu ludu kipiała pobożność gorętsza,
Dreszcz święty, tajemniczy przenikał mu wnętrza.
Błogosław lud ten Boże który dotąd szczyrze,
Czerpie wszystkie swe siły w modlitwie i wierze,
Kiedym głową go przerosł, gdym przestał być mały,
Kiedy wierzyć poczęłam w ziemskie ideały,
Zamiast spojrzeć na niebo oczami łzawymi,
Uroilem niebaczny mieć niebo na ziemi!
Cóż się stało?— ci których ukochałem szczyrze,
Złamali mię na wiedzy, zabili na wierze,
Zamiast łzy przy pokutnym ronić trybunale,
Szedłem jeszcze do ludzi, wykwiłać me żale,
I zamiast bić się w piersi *miłościw bądź Boże!*
Szarpalem pierś że bólu wytrzywać nie może.
I zamknęło się serce do swego tajnika,
Jak kwiat powoju co się na upał zamyka;
Okno zamiast na ziemi lub uwięzić w niebie,
Obróciłem w głąb duszy, spojrzałem sam w siebie.
Dawno już tam nie byłem, coż stało się ze mną?
Dawniej było tak jasno, a teraz tak ciemno....
Prędko z tamtąd uciekłem, bo w głowie się mroczy,
I odtąd już swój polysk utraciły oczy,
I usta zaniemiały rozpaczna niemowa,
Drog życia już nie chciałem próbować na nowo:
Na dawne wejście nie mogłem, bo z kimże iść dalej?
Moi drodzy dawniejsi w grób pozapadali.
Jedni w piasek gdzie gnije ich lepianka krucha,
Drudzy w straszniejszy jeszcze grób nicestwa ducha,
Jam pozostał sam jeden, czasem w nocną ciszę,
Stary organ starego kościółka posłyszę.
Zagrają stare dzwony, przy tym świętym gwarze,
Jeszcze myślę i z życiem walczyć się odważę.
Ale dzwony ucichły, o! krótka otucho,
I za krzepnie na powiekach, serce bije głucho,
I ciemność czarnym wirem nad głową się kręci.....

L. K.

Pogadanki naukowe.

II.

Organy elektryczne w kościele S. Augustyna w Paryżu. — Opis składu skrzyni organowej. — Pierwsza zmiana w budowie organów dokonana i obmyślona przez Barker'a. — Dziwna niedostateczność zastosowywanego dawniej mechanicznego przenoszenia ruchu z klawiszy do klap piszczałkowych. — Druga zmiana w budowie organów, elektryczne przenoszenie ruchu pp. Barker i Peschard. Samogrające fortepiany. — Utwory muzyczne odgrywane przez elektryczność bez pomocy muzyka-artysty.

Kilka miesięcy temu zbudowano i ustawiono w kościele św. Augustyna w Paryżu wielkie organy elektryczne; ponieważ mało kto zna dobrze wewnętrzny skład wielkich organów, a tym mniej organów elektrycznych, podajemy krótki opis tej nowości mechanicznej.

Wiadomo powszechnie, że piszczałki wytwarzają dźwięki organowe. Powietrze wypychane wielkimi miechami wchodzi do piszczałek, i wywołuje drganie, dźwięki które powstają owe cudnie wspaniałe tony, jakich żaden inny instrument odtworzyć nie zdoła. Ponieważ powietrze wnikające do piszczałek winno być posłuszne woli grającego, zatem między piszczałkami a miechami pośredniczą klapy, i każda piszczałka ma swoją klapę oddzielną.

Chcąc zbudować organy potrzeba urządzić w nich: 1° miechy; 2° piszczałki śpiewające; 3° klapy; 4° mechaniczne przenoszenie ruchu które zgodnie z wolą grającego, w razie potrzeby podnosi lub zamyka klapy.

W dotychczas budowanych organach dokonywano prawdziwych arcydzieł pod względem mechanicznego przenoszenia ruchu, i jakże to mało kto wyobraża sobie dokładnie co się zawiera w tych ogromnych skrzyniach wielkich organów, których piszczałki ściśnięte w szeregu, błyszczą na chórach naszych kościołów.

Wejźmy na chór; tu w środku po nad nawą kościoła znajdujemy rodzaj — fortepianu: otworzymy go. Najpierw ukazują nam się trzy klawiatury, ustawione jedna nad drugą, a po za nami, stoją jakby w szuku bojowym ogromne piszczałki cynowe, dające się widzieć z całego kościoła. Lecz jakżeby się mylił kto by wnosił że one stanowią całą składową część organów: zajrzyjmy co się kryje po za nimi.

Oto sto, dwieście, trzysta małych piszczałek rozmieszczonych gromadkami, i ustawionych symetrycznie odnośnie do domyślniej osi kościoła, na tak zwanej *skrzyni*, czyli zbiorniku powietrza będącego w związku z miechami. Słowem to jakby ogród piszczałek, tworzących kwatery, aleje, krzewy, i krzaki, a powierzchnia jego zajmuje dziesięć metrów kwadratowych wypełnionych walcami, stożkami, ogromnymi dudami, fagotami... Klapy i małe rurki przewodnikowe przeprowadzają powietrze z miechów do tych różnorodnych piszczałek; biegną one wzdłuż na wszystkie strony i tak dostają się aż do podstaw wielkich zewnętrznych piszczałek.

Ale nie na tem koniec. Odwróćmy się, i tu znowu postrzegamy piszczałki ustawione rzędami jedne nad drugimi. Na prawo i na lewo piszczałki metaliczne ustępują miejsca grubym, ostrokątnym, drewnianym piszczałkom, których dźwięk basowy jest tak silny i poważny.

Dalej widzimy przegrodzenie ciągnące się poprzecznie odpowiednio szerokości kościoła, korzystamy z małego przejścia i wejźmy po za nie... I znów znajdujemy wielkie prostopadłe piszczałki ustawione nieco ukośnie. Górna część przegrodzenia jest ruchoma, i można ją usuwać stosownie do woli grającego, a tym sposobem zgromadzeni w kościele wierni słyszą dźwięki pełne lub przytłumiane przegrodzeniem.

Widzimy więc że wielkie organy tworzą jakby laboratorium dźwięków, w którym setki przyrządów krzyczy, śpiewa, dźwięczy a nawet i wyje — a jednak słuchacze widzą tylko same błyszczące po nad ich głowami świetne piszczałki, i ani domyślają się całej kombinacji.

Nie będziemy opisywać szczegółowo wielkich miechów poziomych, które trzech ludzi wprawia

w ruch pod piszczałkami. Każdy z nich stoi na dwóch pedałach które przyciska naprzemiennie; tym sposobem wpuścane jest do zbiorników powietrza na ciśnienie kilku centymetrów merkuryusza, które za podniesieniem się klap wchodzi do piszczałek.

I cały ten zawiły mechanizm podlega ślepowoli organisty, siedzącego przed klawiaturą. Ma do swego rozporządzenia trzy klawiatury, pod spodem pedały poruszane nogami, a każdy obniżający się klawisz stanowi zarazem klapę funkcjonującą i grającą piszczałkę.

Ale jakimże sposobem obniżający się klawisz zmusza do posłuszeństwa klapę, odległą niekiedy od siebie o dziesięć lub dwadzieścia metrów? bo nie zapominajmy że klawiatura leży daleko od niektórych piszczałek, i że piszczałki są ugrupowane w dwóch oddzielnych przegrodach. Dotąd szereg drewnianych pręcików stanowił przyrząd przenoszenia ruchu z klawiszy do piszczałek, przyrząd bardzo wagi i łatwo podlegający zepsuciu. Każdy obniżający się klawisz musiał popychać cały mechanizm drewniany, — było to prawdziwe arcydzieło budowy i układu, ale w obec dzisiejszego postępu i rozwoju mechaniki zakrawało na śmieszność.

Aż do roku 1836 grywający na organach, musieli posiadać niezwykłą siłę w końcach palców, bo inaczej niezdoliliby poruszać klawiszy, mających znowu poruszać tyle powikłanych z sobą przyrządów. Trudność ta szczególnie przy wielkich organach dotkliwie uczuć się dawała.

Barker, angielski fabrykant instrumentów, pierwszy powziął myśl prostą, ale płodną w pożyteczne następstwa. Aby wprawiać w ruch klapy, zaczął używać daleko dogodniejszego pośrednika, słowem wymyślił *dźwignię pneumatyczną*. Tym sposobem pręciki zamiast działać bezpośrednio na klapę piszczałki, potrzebowały już tylko podnosić nieco lekką bardzo klapę wpuszczającą powietrze do małego miecha, którego podnoszenie się lub opadanie, poruszało z kolei klapę piszczałki. Niewielka ta na pozór różnica wywołała zupełny przewrót w budowie organów.

Łatwo pojąć że przemieszczenie klapy o kilka centymetrów żadnej nie przedstawia trudności, — otóż klapa ta otwarta daje przystęp ściśnionemu powietrzu, które nadyma miechy. Miech ten nadympając się popycha przyrząd otwierający wielką klapę grającą piszczałki, następnie opada własnym ciężarem wypychając powietrze przez drugi otwór.

Te małe miechy poruszające, dozwoliły budować organy nadzwyczaj silne i wielkie. Jednak ten wynalazek pana Barker'a utrudniał całą budowę nie uproszczając bynajmniej mechanicznego przenoszenia ruchu. Trzeba było koniecznie wynaleść środek zniewolenia klawisza, aby łatwiejszym jakimś sposobem przekazywał klapie ruch palca, w tym celu umyślono działać przez rurki ściśnionem powietrzem, niby w sposób używany dziś w dzwonach pneumatycznych. Dalej próbowano zastosować elektryczność — ale wszystko to wykazało że zadanie to tak łatwe w teorii, jest nadzwyczaj trudne w praktyce.

Jednakże w zasadzie, jest to rzecz bardzo prosta. Wszak w telegrafach druty poruszają się z odległości, zastosujmy system ten do organów, a wprawimy w ruch klapy.

P. Albert Peschard i Caen, adwokat i zarazem znakomity fizyk, pierwszy pomysł ten wprowadził w życie i obmyślił praktyczną bardzo kombinację. Porozumiał się z p. Barker i dzięki wspólnym ich usiłowaniom, powstał nowy system zastosowany do organów nowego kościoła, wystawionego według planu p. Baltard.

Elektryczność nie działa wprost na wielkie klapy piszczałek, ale na małe klapki miechów, — tak więc niezbędnym tu jest mały miech poruszający, wymyślony przez p. Barker, ponieważ myśl poruszania siłą elektryczną wielkich klap piszczałkowych, okazała się zupełnie niepraktyczną.

Miejsce dawniejszych drewnianych pręcików przekazujących ruch, zastępuje drut telegraficzny, ile jest nut, tyle potrzeba drutów. Tak więc klawiatura zamienia się w prawdziwy telegraf, którego siła zamiast służyć do pisania, wywołuje działanie dźwigni pneumatycznych.

Pod każdym klawiszem przechodzi drut zostający w związku z główną siecią odbierającą i rozdzielającą elektryczność dobrego stosu, — a wszystkie

te siły poruszające słuchają ślepo woli organisty. Za uderzeniem, klawisz się opuszcza, pociągając za sobą dwa druciki zaurzające się w torebce z merkurjuszem. Ta to właśnie torebka napełniona płynnym metalem, zapewnia dobry stosunek przewodnika, nuty z przewodnikiem małych kłap, a to zetknięcie się z merkurjuszem jest całą podstawą wynalazku. Prąd natychmiast przebiega po drucie i podbudza mały elektro-magnes, który wprawiony w działanie podnosi przyrząd i porusza kłapę dźwigni pneumatycznej.

Mechanizm ten powtarzający się pod każdym klawiszem wszystkich klawiatur, stanowi całość przyrządu wymyślonego przez pp. Barker'a i Peschard'a.

Stos nie funkcjonuje sam przez się, ale dopiero gdy ktoś zacznie grać na organach; przyrządy są umieszczone na miechu, po nad którym zawieszono inne organa działające, potrzeba żeby miech był w ruchu, chcąc aby przyrządy podnoszone przez nadęty mieszek, otoczyły blaszki metaliczne i zaurzyły je w kąpiel chemicznej.

Organy zbudowane tym systemem i ustawione w kościele S. Augustyna, chodzą nadzwyczaj lekko i ztąd bardzo łatwe do grania, a komisja egzaminacyjna, złożona z pp. Dumas'a, barona Séguier, Moncel'a, Lissajowy, Ambrożego Thomasi Batiste'a, bardzo pochlebnie wydała o nich zdanie. Powtórzenie nuty następuje bardzo prędko i wiernie — tak więc pp. Barker i Peschard rozwiązali zadawalnijące trudne zadanie komenderowania piszczałkami organowemi z wielkiej odległości, i zaznaczyli nową erę w dziejach stopniowego postępu budowania organów.

Skoro już mówimy o zastosowaniu elektryczności do instrumentów, więc powiemy jeszcze o koncertach, jakie niezrównany ten motor wygrywa na fortepianach — n. b. elektrycznych. Tak więc dziś każdy posiadać może w mieszkaniu fortepian grający mu na żądanie najulubieńsze utwory, może się niemi napawać do woli, nie tracąc kilku lat życia na naukę, a nadewszystko nie mordując nią uszu współmieszkańców i sąsiadów. A wszystko to za sprawą elektryczności, której społeczność tyle już zawdzięcza usług.

Gdyby przed kilkudziesięciu laty mówiono komuś, iż można będzie urządzać samogrające fortepiany, byłyby się rozśmiały i nie wierzyły, aby to było możliwe, żeby przyrząd czysto fizyczny, jakim jest stos elektryczny, mógł bez żadnej rozumnej pomocy zastępować skończonych artystów i odgrywać utwory najpierwszych mistrzów — a jednak dziś nauka rozwiązała to zadanie, tworząc fortepiany elektryczne.

Jakże to nauczyliśmy się, rozkazywać i posługiwać się ujarzmonym piorunem!

Fortepian elektryczny nie różni się niczem od powszechnie używanych i można na nim grać jak na każdym innym — tylko że po za jego pudłem, albo nad nim lub nawet w znacznej bardzo odległości, znajduje się poniżej opisany przyrząd.

Mechanizm zegarowy wprawia ruch wazki pasek papieru, nawijając go z jednego krążka drewnianego na drugi takiż krążek — w tem przejściu papier przesuwają się po krążku miedzianym, z którym, za pośrednictwem drutu, łączy się jeden z biegunów stosu elektrycznego.

Na tym pasku papierowym wypisane są nuty wyrażające utwór jaki odegrać zamierzamy, ale nie zwykłym sposobem, tylko w kształcie dłuższych lub krótszych dziurek, a to stosownie do długości. Ten pasek papierowy przypomina kartony używane przy warsztacie Jacquewed'a, i łatwo bardzo zamienić zwyczajne nuty na te specjalne znaczki.

Po nad trzema temi krążkami znajduje się mała klawiatura dotykająca papieru, której wazkie bardzo miedziane młoteczki, łączą się z drugim biegunem stosu. Cały ten przyrząd zastępujący osobę grającą, obejmuje zaledwie pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni, a działanie jego łatwo można zrozumieć.

Mechanizm zegarowy zaczyna się poruszać, pasek papieru się rozwija i każdy takt przesuwają się z kolei między krążkiem miedzianym i małą klawiaturą. Ilekroć w tem przejściu młoteczek metalowej kła-

wiatury, zamiast uderzać o papier, który jak wiadomo nie przepuszcza elektryczności, trafia na urządzoną w nim dziureczkę, tylekroć styka się on z walcem miedzianym i wywołuje się prąd elektryczny, biegnący po przysposobionej sobie drodze, który za pomocą umieszczonego w fortepianie elektromagnesu uderzającego w klawisz, wytwarza dźwięk jego. Każda dziurka w pasku papieru, odpowiada uderzanemu klawiszowi — jest to uderzenie struny w fortepianie. Tak więc widzimy że małe elektromagnesy zastępują palce, a pasek papieru nuty.

Powyżej opisany fortepian, zbudowany został przez p. Spiess'a mechanika przyrządów fizycznych w Szwajcaryi. Dawniej już rozliczne na tej drodze przedsiębrano próby, ale dopiero przyrząd obecnie zastosowany okazał się praktycznym.

Nie będziemy opisywać szczegółowo licznych pomocniczych urządzeń, które przyciskają pedały lub nakładając tłumiki na struny, stopniują siłę tonów.

Fortepian zbudowany w ten sposób wystawiony został przed kilku miesiącami w Paryżu, w jednej z sal Towarzystwa zachęty. Może brak mu nieco tego harmonijnego dźwięku, do jakiego doprowadzić zapewne zdoła udoskonalenie obmyślonego systemu, ale dziś już podziwiać trzeba dokładność, wyrazistość i czystość tonów, i najznakomitszy artysta tylko życiem i czuciem jakie tchnie w grę swoją, przewyższyć może wykonanie.

Do budowy swego elektrycznego fortepianu, pan Spiess zastosowywał 31 ogniów stosu Daniela.

Trzeba jeszcze dodać, że fortepian z elektromagnesami i małą metaliczną klawiaturą z paskiem papieru, stanowią dwa zupełnie oddzielne narzędzia połączone jedynie z sobą za pomocą drutu elektrycznego i dla tego można je ustawiać w wszelkich od siebie odległościach. Fortepian może stać na jednym a poruszający go motor na innym piętrze, lub nawet w zupełnie innym domu, wszystko tu bowiem odbywa się jak przy przesłaniu depeesz telegraficznych. Można także jednym stosem poruszać kilka na raz fortepianów, które mogą odgrywać jedne lub całkiem różne utwory muzyczne.

Nie jest to faktem zdumiewającym, że proste działanie chemiczne, wyradza się tak dziwnie posłuszną, iż według woli naszej wykonywa względnie doskonałe, arcydzieła najznakomitszych kompozytorów.

P. Spiess postanowił zastosować swój system do klawiatury wielkich organów w kościele Notre-Dame w Paryżu. I tu więc elektryczność będzie mogła zastępować przynajmniej niekiedy artystę i napełniać kościół wspaniałemi, wzniosłemi tonami olbrzymich, wznoszących się tam organów.

Na tem sprawozdaniu kończymy dzisiejszą pogadankę, zachowując jeszcze do następnej inne, z pomocą elektryczności dokonywane cuda.

J. Belejowska.

Korespondencja z Paryża.

przez K. Gr.

Pisząc dzisiaj z Paryża nie podobna pominąć sprawy Traupmanna, poruszającej wszystkie umysły nawet najleniwsze, z żółciem mogące iść w zawody. Naprawdę jesień prześliczną darzy pogodą, naprawdę słońce przypomina żary upalnego lata, naprawdę straszą ekonomiści lichym tegorocznym urodzajem, wróżąc potrzebę znacznego zakupu pszenicy: wszystko to nie nie pomaga. Paryż nie słyszy, nie widzi, nawet politykę wypchnął za mury miejskie, a tylko jedno ma na pamięci, morderstwo siedmiu osób, ósmiej domyślne i zbrodniarza, co miał siłę nim zostać.

Osma ta osoba stała się prawdziwą dla Paryżan łamigłówką. Uwzięli się aby ją wynaleść. Gdzie? to ich nie obchodzi, dość że szukają choćby skopać przyszło cały departament, i poprzelawać sadzawki i jeziora, jak wodę z jednej szklanki do drugiej. Policja i żandarmerja ze swjej strony czynności nie zawiesza: plondruje zaułki i zarośla, rozciąga sieci na podejrzanym, chwytą, bada, mer orze grunt pod Pantin, ochotnicy go świdrują, a Paryżanie przybawają tysiącami i wszystko udeptują jak w ujeżdżalni. W tydzień nowa orka, nowe świdrowanie, znówu nowe deptanie tysięcy nóg po świeżo wyorany

miejscu. I tak codzień bez przerwy bez wytchnienia.

Powiadają że ciekawych bywa czasami pod Pantin po kilkadziesiąt tysięcy. Co tam robią, co widzą, czem się zajmują, po co nawet przybyli? nikt właściwie nie umie objaśnić. Jadą jedni, jadą więc i drudzy, a nie znalazłszy nic ciekawego, patrzą w niebo goniąc oczami chmurki po niem przemykające się.

Ponieważ i tu przemysł zapuścił swoje szpony, namiotów więc wszędzie pełno, brzęczą kieliszki, pukają korki u butelek, szumi rozmowa, gwar wzmaga się, targ rośnie, wędrowny kramarz zachwala fotografję nieszczęśliwych ofiar, drugi pokazuje ciekawe broszurki, inny wyśpiewuje przy wórze fletu i skrzypiec opis strasznego wypadku, a przekupnice rozkładają różne drobiazgi, fałszywe biżuterje, laski, obuwie, ubranie, bieliznę, kapelusze, okulary, stare ryciny, porcelanę, fajans, wyroby szklane, papier listowy, słowem wszystko, czego pragnąć lub łaknąć można.

Jak długo ta wędrowka Paryżan trwać będzie trudno przewidzieć. Ciekawość, chęćka wałęsania się, nowość mają swoje prawa. Przy pogrzebie pomordowanych natłok publiczności był niesłychany. Zwłoki złożono na cmentarzu w Roubaix, a do dworca kolei odprowadziło je całe duchowieństwo należące do kościoła Notre Dame de Paris.

Na miesiąc przed tym wypadkiem świat uczony Paryża smutną odebrał wiadomość o śmierci panny Tinne, której śmiała podróż do środkowej Afryki powszechnie obudzała zajęcie. Tajemnicza ta kraina nie jedną już pochłonęła ofiarę. Obecnie Towarzystwo geograficzne w Londynie, trwożąc się brakiem wszelkiej wiadomości, od uczonego Liwingstona gotuje nową wyprawę w celu odszukania jego śladów. Nadzieja powodzenia bardzo słaba, ale Towarzystwo tem się nie zraża, i wiadomość upragnioną przemożącą zdobyć usiłuje. Los panny Tinne nie podpada już żadnej wątpliwości, zapisano też ją w rzędzie ofiar jakie nauka corocznie ponosi.

Młoda ta osoba imieniem Alexyna urodziła się w r. 1839 w Hadze z matki holenderki i ojca Anglika. W roku 1856 pierwszą podróż odprawiła do Egiptu razem z matką i tam to w rozkosznej willi, przyglądając się sławnym piramidom, i zapuszczając myśl w głęboką przeszłość, kiedy ziemia ze stanu zwierzęcego w stan ludzki zaczęła przechodzić, rozwinęła się w niej szczególna gorączka ciekawości, poznania wszystkich miejsc ziemi jeszcze nie dobrze zbadanych, i własnymi oczami przejrzenia tego, czego żadne europejskie oko dotąd nieoglądało. Pisząc do uczonego Dr. Steadner, o zamierzonej podróży do wnętrza Afryki, powiada:

„Afryka będzie pierwszym celem mojej naukowej wyprawy, później wyruszymy na stepy amerykańskiego ludu do Australji, w azjatyckie pustynie a jeżeli czasu starczy i życia do bieguna południowego. Świat uczony pomiata nim, towarzystwo naukowe gardzi, otóż my go postawimy na przynależnym mu stanowisku. Cały ten plan podróży ułożyłam w cieniu piramid, siedząc na starożytnym Sfinksie i patrząc na ich czoła porane lat tysiącem. Mileżące te olbrzymy szczególnym wpływem przeniknęły całe moje jestestwo. Świat bada je, domyśla się potęgą myśli, przerzuca wiek po wieku jak kartki w książce, pragnąc gwałtem przeniknąć przeszłość złożoną w mogile zapomnienia: wszystko naprzędno. Przeszłość człowieka zawsze będzie tajemniczym Sfinksem, dopóki go dobrze nie poznamy w obecności. Jest to pierwszy szczebel drabiny wiodącej do prawdy, pominąć go niepodobna. Gdy ludzkość w badaniu dojdzie do swjej kolebki i pozna pieluchy z jakich wyrosła, Bóg prawie się jej uwidomi, a metafizyka zrozumie jak niedołączną była w dociekaniach, trzymających ją w granicach zmysłów jak ptaka w klatce.

W liczbie szermierzy tych rycerzy ducha, co szperaniem, rozpatrywaniem i rozważą, chcą dobić się aż do przedsionka tajemnic Bożych, a przynajmniej przysporzyć materiałów do tego posługujących, pragnę i ja należeć.

Niejeden z salonowych próżniaków, ważąc złoto mego skarbcza, uśmiechnie się litośnie i nazwie egzaltowaną, jeżeli nie warjatką albo szaloną. Mało mu to obchodzi. Mając krocie do rozporządzenia, wydać je zawsze muszę.

Zbytkiem bogaczy tuczy się przemysłniech że choć raz nauka z niego skorzysta, a wiesz Dokto-

rze jak jestem dla niej szczodra i rozrzutna. Gdybym stała się salonowem cackiem, wabnem, błyszczącym, rzucającym westchnienia i spojżenia, świat otoczyłby mnie uwielbieniem i na klęczkach pochlebstwa żebrały o moje..... miliony. Nie, Doktorze! świat spoważniał niezmiernie, sielance dał szcztuka i wrzucił ją między archeologiczne graty.

Przy tych słowach potrząśniesz z oburzenia głową. W siedemnastu latach życia szepniesz sam do siebie Doktorze, tyle niewiary, to troszkę zawcześniej. Być może, ale cóżem winna zem z lalek wyrosła jak z sukienki i cacka już mnie nie bawia, choć mówią ludzkim głosem i szastają się w salonach z całą elegancją kodeksem cywilizacji przepisana?

Zostawiam więc salon jego ulubieńcom, mnie duszno w jego atmosferze, ciasno i nużąc w całym otoczeniu. Stepy to mój pałac..... wprawdzie zaglądają do niego czasami tygrysy i krokodyle, ale czyż ich niema i w salonach?

Jedziemy więc Doktorze, ale bez ciebie i kroku nie ruszę. Całą zimę zostawiam ci do przygotowania, w Lutym w Imię Boże! dalej w dzikie puszcze.“

(d. c. n.)

O UBIORACH.

Do nowości jesiennych należą suknie tybetowe okładane plisą aksamitną, w tym samym, lecz ciemniejszym odcieniu, lub też w zupełnie odmiennym kolorze. Widzieliśmy podobny strojny kostium złożony ze spódniczki niebieskiej kaszmirowej, obszytej trzema plisami aksamitnymi w kolorze orzechowym, czyli chrabąszczowym, każda plisa szeroka na cztery palce, obszyta była z obu stron waznuchną falbanką fałdowaną z niebieskiej materji. Paltocik do tego niebieski kaszmirowy, krótki przymarszczony w stanie obłożony był takąż plisą. Z pod otwartych przodków, widać było aksamitną orzechową kamizeleczkę, zapiętą na szmuklerskie guziki.

Rękawy rozszewrowane u ręki, miały dosyć szerokie wyłogi aksamitne. Kapelusik do tego okrągły przybrany z wierzchu pękiem piór strusich niebieskich i orzechowych.

Widzieliśmy inny kostium w podobnym rodzaju z tkaniny z jedwabiu i wełny, w kolorze jasno-orzechowym, podobnym do duńskiej rękawiczki. Spódnica i paletocik obłożone były ciemno-zieloną plisą aksamitną. Paletocik cokolwiek otwarty na piersiach miał szerokie aksamitne wyłogi, równie jak mankiety u rękawów.

Kostiumy czarne jedwabne zawsze modne. Uważaliśmy jeden, przybrany u dołu kilkoma wazkami falbankami. Paletocik do tego czarny aksamitny, przody miał wypuszczone poniżej stanu ścięte czworograniasto, boki równe ze stanem, z tyłu zaś przedłużoną baskinę. Szarfa do tego ze wstążki atlasowej zielonej i szafirowej: z tyłu ułożone były pukle w tych dwóch kolorach, dawane na przemian, dwa końce nie długie spadały z pod tych pukli, jeden zielony, drugi szafirowy.

Kapelusik czarny okrągły, przybrany pękiem piór zielonych i szafirowych, odpowiadał całości ubrania.

Do najmodniejszych okrywek jesiennych należy okrycie Meternich, z czarnego sukna, podebrane z tyłu do połowy pleców, i przybrane w tem miejscu wielką kokardą ze wstążki *gros grains*, bez końców. Z tyłu okrycie tworzy dwa festony, od boków do przodu przypasane paskiem, zapiętym na niewielką kokardę. Dół objęty w koło frendzlą jedwabną, u szyi dane zębki tworzące, jakby stojący kołnierzyk zakończony podobną kokardką jak u paska.

Kapelusze w ogólności mają wierzch przybrany piórami napiętrzonymi u góry po nad czołem; najwięcej teraz używane są czarne aksamitne i kastorowe.

Na salopy tegoroczne materje są bardzo rozmaite: między temi odznaczają się śliczne atlasy Lyonskie, Peking satiné, gros de Suez, gros de Londre, gros armure, cachemire de Lyon, drap de Hollande i popeliny pół jedwabne znane już ze swój trwałości. Z wełnianych najlepsze są rypsy i satin Eugénie.

Na suknie damskie wybór towarów nie mniej jest liczny. Do nich należą materjały wełniane mięszane z jedwabiem, fular japoński, czysto wełniane alpacki, serża, atlas wełniany i flanelki angielskie i francuzkie. Do najtańszych zalicza się wyrób mieniący się zwany: Vincies po kop. 45. i lżejszy po kop. 37 1/2 łokieć,

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkusowego.

N. 21 i 22. Pelerynka w kształcie berty.

Krój na dodatku N. VI, fig. 10.

Berta przedstawiona używana tak do wygorsowanego jak do stanika pod szyję, może być biała albo czarna; wykrój jej podłużny lub kwadratowy, odpowiednio do wygorsowania stanika, powinien być cokolwiek mniejszy, żeby brzeg jej wystawał po nad wycięciem stanika w około. N. 21. przedstawia strojną taką bertę z czarnego, koronkowego tiulu z gipiurkami, pliskami atlasowymi i takąż ruszą, kokardy atlasowe dodają świetności. N. 22. podaje tył berty z białego blondynowego tiulu z kolorowymi atlasowymi kokardami, koronką oszyty. Na formie znajdująca się linja oznacza przyszycie 2. cent, szerokiej ruszki; przy dokładności rysunku, ograniczamy się na uwagę, że węższa koroneczka na 1 3/4 cent. szerokości, pliski 3/4—1. cent. liczą, koronka brzeżna 4. cent. wstążka na kokardy 3 1/2 cent. szerokości powinna wynosić.

N. 23. Gorset dla dziewczynki od 12—14 lat.

Gorsety takie z białego lub jak na naszym modelu z popielatego drelichu, robią się podług miary figury bez, albo z podszewką perkalową białą; dla większego stroju, robią też gorseciki takie z czerwonego kaszmiru, płótnem podbite, przez co niewychodzą z formy. Lamówkę dolnego i górnego brzegu stawia na modelu naszym, czerwona wełniana tasiemka, biała stembnowana; kilka czerwonych ściągów przytwierdza fiszbiny, stembnówka na szwach daje się czerwona. Górny brzeg frywolitkami przybrany, ozdabia się z przodu, czerwoną kokardą ze wstążki.

N. 24—26. Pokrycie na żelazne meble.

Deseń na dodatku pod N. 1—3.

Żeby dać więcej zimowy pozór ogrodowym żelaznym meblom, podajemy deseń na wyszycie czerwoną przedzą pokrycia z popielatego płótna, które jak widzimy na ryc. 24—26 ozdabia krzesło, stół serwetę i poduszkę leżącą w rogu kanapy. Na poduszkę i serwetę dzisiejszy dodatek podaje pod N. 1—3 desenie w naturalnej wielkości, które przy dokładności ryciny, łatwo odrobić można. Wszystkie greki odrabiają się łańcuszkiem, mniejsze i większe kwiatki ukośnym atlasowym ścięciem, korzonki i gałązki długim znanym ścięciem. Przedza na łańcuszek powinna być bardzo gruba, na atlasek nieco cieńsza. Serweta, 27 cent. w kwadrat licząca, otrzymuje w odległości 2 1/2 cent. od brzegu szlaczek, brzeg lamuje się na 3/4 cent. purpurową szwajcarską taśmą rogi, otrzymują kwasty z nitek wyciąganych w płótnie, przytwierdzone czerwono obciążonym guzikiem. Poduszka przygotowana do obkalanja jako poszewka zapinana na guzik. N. 26 z popielatego płótna ma w koło dość szeroki szlaczek, w odległości 1 1/2 cent. od brzegu, wypustkę grubą czerwoną, na rogach kwasty z nitek wyciąganych w płótnie, 4 cent. długie, skręcane, przewiązane i zakrecone popielatym guzikiem, czerwoną nitką ozdobionym. Na pokrycie krzesła, bierze się szlak 28—30 cent. szeroki, i wyszywa jak serweta. W dzisiejszym numerze, podajemy pod N. 30 deseń napokrycie krzesła.

N. 28. *Żabot muślinowy z koronką.* Jako ozdoba stanika pod szyję albo wygorsowanego, numer 27 podaje strojny żabocik, ze spadającymi końcami i ładną rozetką pod szyję. Jeśli rozetkę położymy głębiej, a koronkowe końce, przyfastrzygujemy do wy-

kroju szyi, żabocik, przyjmie formę „à la Watteau“, z podłużnem nieco wycięciem; jeśli zaś przy wygorsowanym staniku, podamy kokardę na przodzie, a końce żabota przyczepimy na ramionach, przyjmuje formę berty. Przy kołnierzykach końce żabota biorą się do dołu i przypinają broszką lub kokardą. Żabot ten z tylokrotnem zastosowaniem wymaga kawałka muślinu lub tiulu 21 cent. długiego a 12 szerokiego, który się ukośnie przecina. Zaokrągłony brzeg przecięty, po obu stronach powinien jeszcze 19. cent. liczyć. Oba te końce, ozdabiają się 2. cent. szeroką, haftowaną obszewką, z pod której wystaje nadmarszczona 1. cent. szeroka koronka. Zfałdowany wierzchni obwód, brzeg gładki powinien jeszcze liczyć około 6. cent. Koronka 2. cent. szeroka lekko przymarszczona, łączy obiedwie połowy żabota i formuje rozetkę, której środek atlasowy kwiateczek zajmuje i kolorowe atlasowe kokardy, dają się pod spodem żabota.

N. 29. Garnirunek do staniczków na gorset.

Przód garnirunku w rodzaju karczka, formuje 1 1/2 cent. szeroka tiulowa wszywka 1 1/2 cent. szeroki batystowy podwójny pasek, podłużnie z sobą zeszyte. Następnie oba brzegi, oszywają się na batyście haftowanymi gwiazdkami których środki, ozdabia koronkowy ściąg. Aplikowanie takie gwiazdki jedna przy drugiej dane, ubierają plecy i rękawy. Ostatnie, łączą się jak to widać na rycinie z karczkiem; ramiączka, stanowią trzy gwiazdy; koronka 1. cent. szeroka, oszywa garnirunek w koło.

N. 30. Szlak na krzesło.

Materjał. Nieblichowane atlasowe popielate płótno, czerwone sukno, czarny z białym sutasz 3/5 cent. szeroki czerwona, wełniana tasiemka 1 1/2 cent. szeroki czarny wełniany sutasz, andaluzyjska czarna włóczka, czerwona, fijołkowa, zielona, szafirowa i mais żółta.

Na popielatym wełnianym atlasie, w tureckim guście wyrobiony szlak N. 30. w połowie szerokości podany przedstawia podłużny kwadrat, i małe po bokach kwadraciki; inne deseniki, odrobić można z trochę uwagi z deseniem. Wszystkie kwadraty, robią się podwójnym rzędem czarnego i białego sutasz, między którymi, dają się czerwone krzyżyki, gwiazdka z czerwonego sukna żółto-mais krzyżykami przydzierzgana, zdobi wielki kwadrat, mając we środku siatkę czarną, fijołkowymi punkcikami na krzyżowaniu ozdobioną; małe zielone gałązki i trzy długie ścięgi fijołkowe wyszywają gwiazdę, mającą na zewnątrz jeszcze po trzy czarne ścięgi. Czarna siatka z zielonemi krzyżykami, dwoma linijkami czerwonymi otoczona, stanowi środkowy punkt, podłużnego kwadratu. Boczne otoczenie daje się z wełnianej tasiemki czerwonej, czarnemi krzyżykami przytwierdzonej, trzema długimi zielonemi, żółtym ścięciem spojenemi ozdobionej. Żółte, zielone i szafirowe kropki, zapelniają festony czarnego sutasz, brzegi zdobiące; sześciokątne, czarne gwiazdy z czerwonym brzegiem, mają niebieską muszkę, z żółtą podwójną obwódka we środku; pozostałe gwiazdki formują się z łańcuszka szafirowego, czerwonego i fijołkowego.

Korespondencja.

Panu G. B. Szarada dość zgrabnie ułożona, ale wyraz jaki określa już dawno w tym samym celu był użyty i jako nie mający sobie podobnego znany jest powszechnie. Z tego powodu drukowaną być nie może.

Panu Danielowi Szy. Encyklopedia kosztuje po cenie dawniejszej rs. 89 bez przesyłki. Pieniądze przesłać można do naszej Redakcji.

Pani K. Biel. pisma francuzkie prenumerują się w Ekspedycji Gazet w Warszawie.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

T R E Ś Ć.

N. 1. Kostium dla młodej osoby. — Ubranie dla młodej osoby. — Ubranie małej dziewczynki od 7 do 10 lat. N. 3 — 7. Kapelusze różnej formy. — N. 8. Kostium do kąpienia. — N. 9. Kostium spacerowy. — N. 10. Spacerowy kostium z peleryną. — N. 11. Ubranie małej dziewczynki. — N. 12. Kostium spacerowy „Matelot”. — N. 13. Garnirunek do stanika pod klarowne bluzki. — N. 14. Wszywka do N. 13. — N. 15. Wszywka do N. 13. — N. 16. Pelerynka w kształcie bluzki. — N. 17. Pelerynka w kształcie bluzki. — N. 18. Kanzut z kołnierzykiem. — N. 19 i 20. Pelerynka z karoczkiami dla dziewczynki. — N. 21 — 22. Berta chusteczka. — N. 23. Gorset dla dziewczynki od 12 — 14 lat. — N. 24 — 26. Pokrycie na żelazne meble. — N. 27. Lewa strona poduszki. — N. 28. Żabot muslinowy z koronką. — N. 29. Ubranie do podstanieczków. — N. 30. Haftowany szlak na meble.

N. 1—2. Jesienne kostiumy.

N. 1. Kostium dla młodej osoby. Na spódnicy z ukośną falbaną u dołu z tkaniny białej w niebieskie pasy, model nasz przedstawia wierzchnią spódniczkę, pelerynkę wciętą w tyle i szarfy z kokardą gładkie niebieskie, objęte szeroką ukośną plisą w około. Stanik i rękawy w pasy. Wszystkie kokardy do podpinania spódnicy, zdobiące pelerynkę i przepięcie kokardy po nad szarfą, dają się z materiału w pasy. Falbanki u rękawów stosują się do nagłówka dolnej falbany. Na głowie popielaty filcowy kapelusik, przybrany różami i popielatą wstążką.

Kostium małej dziewczynki od 7 — 10 lat.

Tunika i krótki staniczek z jasno-lila tkaniny, w fijołkowy rzucik, ubierają ukośne falbanki z nagłówkiem jedwabne fijołkowe, z których jedna nasładuje otwartą z przodu tunikę, tworząc na staniku rodzaj bretelek z ruszy powstałej przez przemarszenie drugiego brzegu. Epoleciki z wierzchniego materiału. Biała bluzka w zakładki z muslinu, naszywa się w pewnych odstępach fijołkową aksamitką która ubiera także rękaw u dołu. Aksamitny fijołkowy kapelusik, lub filcowy popielaty, fijołkowym aksamitem przybrany.

N. 2. Ubranie młodej osoby.

Na jasno-popielatej spódniczce fularowej w niebieskie kwiatki, idzie spódnica popielata, z fałdowaną falbanką z materji zwaną „Changeant” z przodu fartuszkowa, z tyłu dwie buffy tworząca. Te ostatnie, rodzaj „panier” podtrzymują od boków dane, dwie szerokie listwy popielate, z niebieską wypustką na brzegach; wszystkie inne listwy na kwadratowo wyciętym staniku, rękawach i pasku, otrzymują szerokie niebieskie lamówki. Szmizetka muslinowa z bufek, wstawek ze stojącą szlarką pod szyją i koronkowym żabotem dopełnia stanika. Kapelusik jasno popielaty filcowy, z niebieskimi piórami na środku główki.

N. 5 — 7. Rozmaite kapelusze.

N. 4. Okragły kapelus z małym rondkiem.

Wąskie rondko i 3 ce. wysoką główką z popielatego

filcu opasuje lekko zwinięta popielata gaza. Długi na 55 cent. a 60 szeroki woal, przypina się na główce, żeby pokrywał trochę z jednej strony, fryzowane popielate piórko, a z drugiej zakończył się kolorową, do sukni odpowiednią kokardką.

N. 4. Okragły kapelus z szerszym rondkiem.

Nizką jego główkę, otacza rondko, osłaniające dobrze twarz całą. Ubranie, stanowi girlanda z liści, pukiel koronkowy z przodu, wstążka i duży kwiat, od którego idą długie końce ze wstążki przewleczonj przez koronkę i spadające do tyłu, gdzie łączy je kokarda ze wstążki.

N. 5. Kapelus pod brodę.

Mały kapelus formą zwaną „fanchon” z czarnego aksamitu, ma na modelu naszym szafirowe jedwabne podszycie ze wstążki i wysoko nad czołem dane rondko. Szafirowe kokardy ze wstążki, czarna koronka, i białe gałązki kwiatów dopełniają całości.

N. 6. Okragły kapelus z bokami odwinietymi.

Wąskie wyłożone nieco rondko, formuje z prawej strony rodzaj szerokiego ranwersu, które na modelu naszym z popielatego filcu przytwierdza kokarda z popielatej wstążki. Lekko w koło główki daną wstążkę, ozdabia na lewej stronie piękne piórko z główką płaszka.

N. 7. Okragły kapelus z podwójnym rondkiem.

Środkiem rondka, objętego z obu brzegów aksamitem, idzie girlanda z aksamitnych liści, z tyłu spada szeroki i długi koronkowy czarny welon, ła-

N. 8 — 12. Kostiumy do morskich kąpieli.

N. 8. Kostium do kąpienia. Krój bluzki na dodatku N. 1. fig. 1—2, krój kapelusza N. III, fig. 5—6, „Leskot” jako wyrób sztywny a nie tak ciężki jak flanela która zbyt formy ciała odznacza, jest dotąd zawsze poszukiwany na kąpielowe kostiumy. Podany model z białego leskotu, ruszą z czerwonej wełnianej tasiemki przybrany, składa się z szerokich majtek, długiej bluzki bez rękawów wykrojonj podłużnie, i paska z karoczkiami. Pasek ten jest tak przyrządzony, że sam utrzymuje całość kostiumu i ułatwia szybkie włożenie, jako też zdjęcie kiedy jest zmoczony; umieszczone pod spodem paska guziki na przodach, z tyłu i z boków, powinny zupełnie odpowiadać dziuikom majtek i bluzki, przez co zapięte trzymają się ściśle, łatwo dając się rozdzielić do wysuszenia. Na z przodu zapinane majtki, niedajemy wcale formy, odsyłając do tyłokrotnie przy bieliznie podawanych fasonów. Podłużyc i skrócić mogącą się bluzkę przyrządzić należy podług N. 1—2, obrabić w koło, ubrać ruszką i opatrzyć podwójnym rzędem guzików, z których tylko przednie na obrębie wypadające, otrzymują dziurki do zapinania. Praktyczny kapelus, i sandały dopełniają ubrania.

N. 9. Kostium spacerowy.

Całą ozdobą tego skromnego kostiumu z jasno-popielatej alpaki, stanowi naszywie z czarnej aksamitki, zdobiącj z obu brzegów wąskie listewki, przez środek na spódnicy przystembnowane. Falbanę załamowaną u dołu oszywa także aksamitka, najbardziej znaczna na paltocie gdzie formuje rodzaj szmizetki, zakończonj falbanką jak u dołu spódnicy. Prócz paltota oszytego listewką wyżj nieco opisaną i podpiętego z boku czarnymi puklami aksamitu, dana jest jeszcze tunika, także listewką naszyta. Szarfą ułożoną w kokardę ma końce z załamywaną falbanką naszyte aksamitką, zdobiącą bogato samą kokardę. Rękawy mają falbankę i listewki z aksamitką. Głowę ubiera popielaty aksamitny kapelusik z kolorową woalką.

N. 10. Spacerowy kostium z peleryną.

Krój peleryny N. II. fig. 3—4.

Prócz pięknego kostiumu z wełnianej tkaniny przybranego ozdobnie falbankami N. 10 przedstawia pelerynę z żółtej sztywnej kitajki ubraną tasiemką. Przeznaczeniem peleryny ochronić od zamoknienia suknie, na które spadają mokre od kąpieli włosy. Podłożysz pod włosy, które wolno spływając prędkschną na słońcu, łatwo ją następnie wyczyścić i zastosować na wielkość do długości włosów. Rusza lub wąskie objęcie ozdabia ją w koło. Falbanki ubierające powyższy kostium wyszywają się w maszynie. Kapelus „bergère” osłaniający twarz całą, zdobi brązowa wstążka i bukiet polnych kwiatów, lub czerwonych maków.

N. 11. Ubranie małej dziewczynki.

Na spódniczce białej w kolorowy rzucik, dana jest tunika w kolorze rzucików, przybrana ukośnemi falbankami w paski, lekko zakarbowanemi. Dolną spódnicę ozdabia

szersza nieco falbana w paseczki; szmizetka z rękawami z białego muslinu; popielaty kasterowy kapelus z kokardami i bukiet z polnych kwiatów dopełniają powyższego kostiumu.

N. 12. Kostium spacerowy „matelot”. Wzór do wyszycia szarfy i kaftanika na dodatku N. 28. Kostium powyższy składa się z białej w niebieskie



N. 1. Kostium dla młodej osoby.

N. 2. Ubranie młodej osoby. Ubranie małej dziewczynki od 7 — 10 lat.

pasy spódniczki, a którą idzie druga zupełnie biała podpinana niebieskimi patkami. Białe wykłady paltota niebieskiego i kieszeniowe patki ozdabia wyszycie z czarnej włóczki. Długi niebieski pas podpinający suknię, ma osobny deseń na dodatku N. 28, w miejsce okrętu, można dać także kotwicę, co będzie lepiej odpowiadać całości. Wszystkie białe cząstki, wykłady itp. naszywają się czarnym sutazem. Wysokie skórkowe buciki. Głowę ostantia japoński kapeluszy niebiesko podszyty, z niebieską kokardą i złotą kotwicą. Perkalowa wielka parasolka, ma znowu nowe urządzenie. Przeszłego roku nosili je okute ostro żelazem w górze, teraz dla większej wygody w podróży, dają na ostrym żelaznym końcu grubą kostkę, która zaśrubowuje się kiedy parasolkę otworzyć wypada, a zdejmując, jeśli parasolka ma być jako kij ażyta.



N. 3—7. Kapelusze różnej formy.

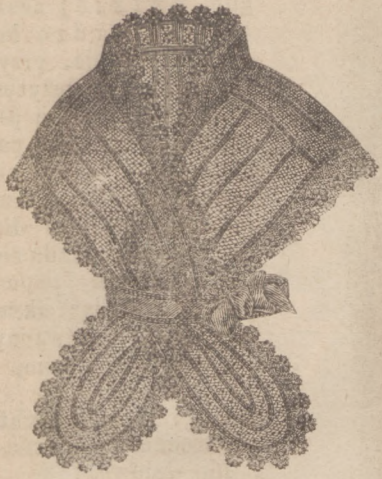
N. 13 — 15. Garniurek do staniczka pod bluzki klarowne. Krój na dodatku N. XI. fig. 22.

Deseń na haft na dodatku N. 21. Ten rodzaj przybrania fastrzygowany lekko na podstaniakach przy wykroju szyi, szczególnie dobrze się wydaje pod przezrystymi muślinowymi i tiulowymi bluzkami. Najpierw należy całość przykroić i ufasonować z kawałka muślinu, dając wymagalne do zaokrąglenia zeszyca, jak najmniej widoczne. Jak przy każdej podobnej robocie, należy najpierw odpowiednią formę tak urownać, żeby zakładki dane w górze jak idąca po nich wszywka i szlarka nie miały żadnych założeń prócz lekkiego przymarszczenia na ramionach. Wszystko daje się prosto, wyjąwszy małą listewkę muślinową po d wszywką przszytą, która się następnie przyfastrzygowuje na podstaniaku; ta powinna być podwójna i koniecznie skośna, do for-



N. 8. Kostium do kąpania. N. 9. Kostium spacerowy. N. 10. Spacerowy kostium z peleryną. N. 11. Ubranie małej dziewczynki. N. 12. Kostium spacerowy „Matelot.”

my dopasowana. N. 14 przedstawia wszywkę w naturalnych rozmiarach, zakończoną małymi ząbkami; podobne ząbki dają się wraz z 1 cent. wążutkiem szlaczkiem zamiast koronki



N. 18. Kanzut z kołnierzykiem.

u wykroju szyi. Szlarka stanowiąca niby falbanę 4 cent. szeroka i w drobne kontrafaldki układana, ma osobny deseń na dodatku pod N. 21, są tam również desenie na wszywki. N. 15 podaje innego rodzaju wszywkę haftowaną, zakończoną piękną wałansienką z obu brzegów; w kwadratach dana jest także koronkowa



N. 13. Garnirunek do stanika pod klarowne bluzki.



N. 19 i 20. Pelerynka z karoczkim dla dziewczynki.
Krój na dodatku N. VII. Fig. 11—14.



N. 21. Ferta chusteczkowa. Forma na dodatku N. VI. Fig. 10.

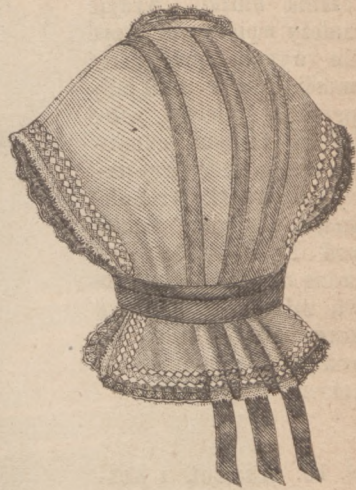
wszywka na muslinie przyhaftowana, po skończeniu roboty muslin się pod nią dla przejrzystości wycina. Wszywka ta powinna być w całości pod muslinem, a można ją zastąpić tiulem wyszytym bawełną.



N. 14. Wszywka do N. 13.

N. 16 i 17. Pelerynka w kształcie bluzki.

Na wyciętym staniczku z rękawami „Watteau“ sięgającymi do łokcia, odznacza się pięknymi



N. 17. Pelerynka w kształcie bluzki.
Krój na dodatku pod N. V. Fig. 9.

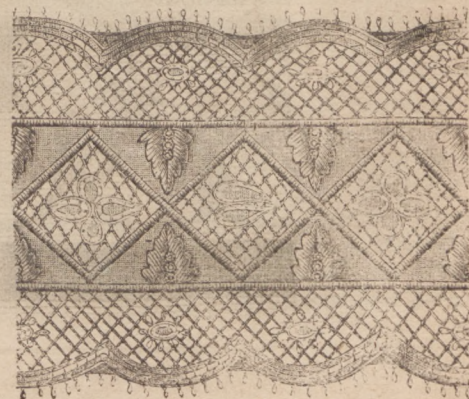
nie bluzka muslinowa N. 16 podana także z tyłu pod N. 17. Prząd i plecy przedstawiają trzy szerokie fałdy czyli zakłady, podwlekane kolorową atlasową wstążką, która na 6—8. cent. na końcu wystaje. Brzeg tej prostej bluzki, otacza 2. cent. szeroka koronkowa wszywka,



N. 22. Berta chusteczkowa (plecy).
Forma na dodatku N. VI. Fig. 10.



N. 16. Pelerynka w kształcie bluzki.
Krój na dodatku N. V. Fig. 9.

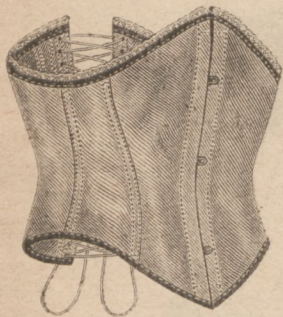


N. 15. Wszywka do N. 13.

nej w fałdę i zakończya rozetką ze wstążki odpowiedniej szerokością i kolorem do podwleczenia bluzki. Krajac należy wpierw obliczyć ile wypada przypuścić muślinu na trzy zakłady przodów i pleców, przed ich założeniem jednakże, trzeba dać zewnętrzny garnirunek. Na aplikacje, dodatek podaje pod N. 15—16 dwa ładne desenie; muślinowa szlarka łączy się z koronkową wszywką pod aplikowanym szlaczkiem.

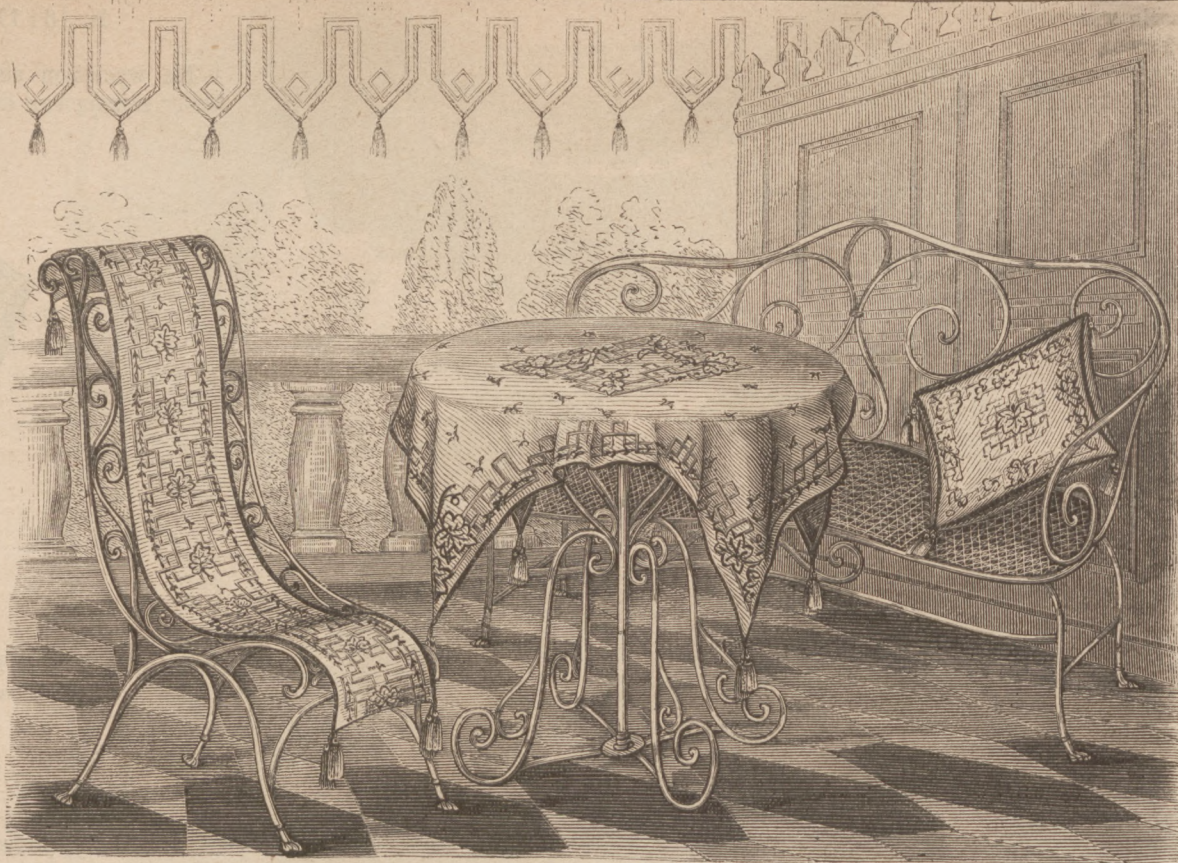
N. 19. Kanzut z kołnierzykiem.
„Medicis“

Zwyczajny fason krzyżowanej z przodu chusteczki, odznacza się tylko oryginalnym kołnierzem stojącym. Rozłożony, wynosi przy wykroju szyi 49 cent. długości, wygląda jak-



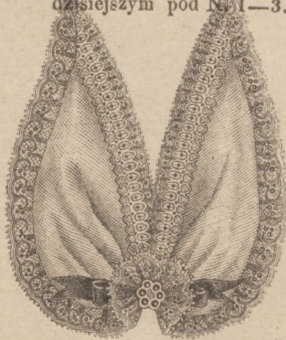
N. 23. Gorset dla dziewczynki od 12—17 lat. Krój na dodatku N. IV. Fig. 15—18.

zmarszczki wypadają zawsze między patkami tyłkami. Prócz 7 cent. szerokiej koronki danej w koło, model nasz ma jeszcze garnirunek w pasy z aksamitki jak wskazuje rycina. Główną ozdobę stanowią i łańcuszek



N. 24—26. Pokrycie na żelazne meble.—Deseń na dodatku dzisiejszym pod N. 1—3.

by był zupełnie równy i prosty, tymczasem jest z tyłu zaokrąglony, 5. cent. szeroki, i spiczasto kończący się z brzegów. Cały ten kołnierzyk dzieli się na 12 patek, z których każda wszywka w około oszyta, spada na 1½—2 c. szeroką wystającą koronkę. Długość koronki liczy prawie 60 cent. tak ułożonych, że b-

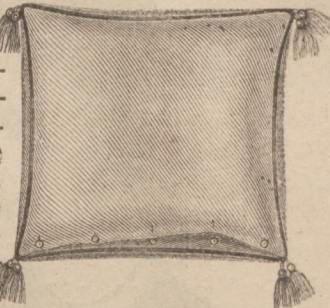


N. 28. Żabot muślinowy z koronką



N. 29. Ubranie do podstenczków.—Krój Fig. 8.

se kaszmiru może być ryps, tybet, itp. N. 20. przedstawia tył czarnej chusteczki ubraniej ruszą. N. 21. całe ubranie dziewczynki falbankami ozdobione z materjału w pasy. Co się tyczy prostej formy, winniśmy nadmienić że najpierw należy przyrządzić chusteczkę, podług fig. 11 i 12, podług



N. 27. Lewa strony poduszki Fig. 5 i 6.

fig. 14 przykrojony w całości karoczek, należy stosownie do wskazówek w samym tyle w fałdy zebrać w górze aż do gwiazdki, zmarszczyć i tak daleko ściągnąć, żeby przystawał do konturu naznaczonego przy pasku, który na sztywnej podstawie w koło objęty, z przodu opatrzone rozetką, najpierw uszyć należy, poczem

obydwa przybrane pukle od szarfy, przyczepiają się na karoczku. Nakoniec pasek łączy się z chusteczką, tak żeby brzeg jej na karoczku podwrać. Rozetka zakończya z tyłu pukle i karoczek.



N. 30. Haftowany szlak na meble..

ze złotej nitki, robiony jeden ścieg duży jeden mały, który zobu brzegów wązkiej aksamitki bardzo ładnie się wydaje, przytwierdzając należyście. Pasek aksamitowy ma podobne aksamitne paski; — cały ten garnirunek tak na pasku, jak na chusteczce dla dokładności, układa się na podstawie papierowej, zwilżając aksamitki z lewej strony rozpuszczoną gumą.

N. 20 i 21. Pelerynka z karoczkami dla małej dziewczynki.

Krój na lat 10—14 na dodatku N. VII. fig. 11—14.

Chusteczka ta dopełnia bardzo zrecznie kostiumy, jeśli jest z jednokolorowego materjału, na modelu naszym jest czarna kaszmirowa, przez co nosić ją można jako okrywkę, przy każdej sukni; w miej-